

Jarosław Ławski
Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód”
Uniwersytet w Białymstoku
ORCID: 0000-0002-1167-5041

W ŻYDOWSKIEJ KARCZMIE, WE WNĘTRZU XIX-WIECZNEGO ŚWIATA. Z PODRÓŻY PO NIEMNIE ZYGMUNTA GLOGERA

Perspektywa „mikro”

Relacje polsko-żydowskie i żydowsko-polskie, szczególnie XIX-wieczne, także te dotyczące postaci Glogera¹, coraz częściej odbieramy przez grube szkła idei współczesnych, doświadczeń XX-wiecznych, ich tragicznych apogeów – takich jak Zagłada. Jeśli nawet ten najmocniejszy akcent jest nieobecny, to patrzymy na te relacje przez dyskursy rządzące życiem społecznym następnego stulecia: ideę asymilacji, rodzący się antysemityzm, nurty kształtujące się dopiero, takie jak syjonizm.

W każdym z wymienionych przypadków nieuchronnie dokonujemy projekcji retrospektywnej: naszych własnych wyobrażeń o świecie i tych relacjach (co nieuniknione po części), summy wiedzy, jaką nagromadziły o nich wiek XIX i XX, a bardzo często również współczesnych wyobrażeń o tym, jak one powinny wyglądać. Nie do uniknięcia jest nade wszystko spojrzenie przez pryzmat Całości relacji polsko-żydowskich, na szczycie których stoi wtedy zawsze ich stan dzisiejszy, a gdzieś tylko u podstawy ówczesne skomplikowanie². Powstaje w ten sposób pewien węzeł gordyjski, którego nikt nie jest w stanie przeciąć. Poniekąd inne spojrzenie niż przez szkła naszych, współczesnych umysłów nie

¹ Artykuł powstał w ramach grantu Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki pod nazwą „Kontynuacja naukowej, krytycznej edycji *Pism rozproszonych* Zygmunta Glogera: edycja rękopisów, pism etnograficznych, rysunków i korespondencji w VII tomach”, realizowanego w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku (lata 2018–2022).

² Z takich realizacji tematu żydowskiego przez literaturoznawców wymienimy: A. Wojtyczek, *Tradycja i religia Żydów w literaturze polskiej XIX wieku*, Warszawa 2012; *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i cieniu historii*, red. J. Ławski, B. Olech, Białystok 2014; *Żydzi w literaturze*, red. A. Szawerna-Dyrszka, M. Tramer, Katowice 2003; A. Fabianowski, *Mickiewicz i świat żydowski*, Warszawa 2018.

jest możliwe, nie mamy innych siatek pojęć, kategorii, idei i mitów, niż te, które zebraliśmy z naszej współczesności.

Rzecz chyba jednak nie w tym, co wnosimy do rozmowy o przeszłości jako „współcześni” (w XX, XXI czy XXII wieku), lecz w proporcjach, jakie przyjmujemy, kształtując naszą narrację o przeszłości. Proporcjach określających to, ile jest w naszej opowieści świadectw z epoki, a ile przeszłości dyskursu ideowego. Nie skrajności zresztą jawią się jako niebezpieczne. Często świadectwa naszego, „nowego” bez komentarza i zasad ich wyboru, łatwo stają się polem manipulacji ideologicznej, zaś same dyskursy współczesności nabierają od razu ciemnego blasku dyskursu polityczno-ideologicznego, oderwanego od świadectw. Każdą z tych strategii łatwo przecież zakamuflować, na przykład quasi-naukową tezą, że fakty najlepiej mówią za siebie, albo jej krzywym odbiciem, czyli tezą, że każda opowieść o historii jest narracją (co samo w sobie wydaje się truizmem dla ludzi piszących o przeszłości), a więc wszystko wolno.

Nie zamierzam tu rozwodzić się nad teoretycznymi zagadnieniami tworzenia narracji historiograficznych czy historycznoliterackich, co stało się niemal toposem współczesnych prac na ten temat, a wynika nie z troski o prawdę, lecz z pragnienia jak najszybszego dopasowania się do mainstreamowych trendów metodologicznych, mód. Chcę po prostu zmienić perspektywę i do prawdy o węźle gordyjskim w relacjach żydowsko-polskich (ale można by zbudować sto innych opowieści, w tym o relacjach rosyjsko-żydowskich, niemiecko-rosyjskich etc.), chcę dojść od innej perspektywy. Zacząć od mikroujęcia³, które nie oferuje błyskotliwych syntez, lecz przepatrzone interpretacyjnie, pokazuje zawężlenia, aporie, problemy z artykulacją nie tylko obrazu nas, „współczesnych”, lecz także „ich”: ludzi XIX stulecia.

Sprowokowało mnie do tej wyprawy pytanie zadane mi przez prof. Lucynę Aleksandrowicz-Pędich w 2016 roku, gdy prezentowałem dość szalony, późny pomysł Glogera na rozwiązanie kwestii żydowskiej⁴. Otóż zaproponował on zupełnie poważnie, by jak najwięcej chrześcijan zawierało śluby z Żydami, przez co ci drudzy przyjmą chrześcijaństwo, staną się właściwie nieodróżnialną częścią społeczeństwa, na co przytaczał chwalebne przykłady z okolic Podlasia. Słuchaczka mego eseju zapytała nie bez słuszności, czy w takim razie miał on jakąkolwiek wiedzę o Żydach, skoro tak nierealistyczne myśli przedkładał. Od-

³ Nie ukrywam inspiracji „mikrologią” Aleksandra Nawareckiego. Zob. tegoż, *Czarna mikrologia*, [w:] *Skala mikro w badaniach literackich*, red. A. Nawarecki, M. Bogdanowska, Katowice 2005, s. 9–24.

⁴ Zob. J. Ławski, *Literalna utopia. „Głos ze wsi w kwestii żydowskiej” Zygmunta Glogera*, [w:] *Żydzi wschodniej Polski*, Seria V: *W kręgu judaizmu*, red. J. Ławski i I. E. Rusek, Białystok 2017, s. 129–146. Dodam, że V. Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Żydzi wschodniej Polski”: *Judaizm środkowo- i wschodnioeuropejski* obradowała w dniach 20–21 czerwca 2016 roku w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego.

parłem, zgodnie z prawdą, że na tle swoich współczesnych wyróżniał się wiedzą dalece ponadprzeciętną, niestandardową, a także nierzadko empatią. Dziś dodałbym jeszcze, że była to wiedza empiryczna, bezpośrednia, a nie tylko nauczona, pogłębiona przez lektury (a nie na odwrót), a także, że niewątpliwie zmieniała się ona w ciągu lat. Inną miał zapewne 25-latek, a inną 60-latek w 1905 roku, kiedy trafiają się u Glogera nieczęste, ale krytyczne frazy wobec żydowskich rewolucjonistów. Dodajmy: rewolucja 1905 roku rujnowała cały program z ducha pozytywistycznych reform społecznych, które Gloger propagował przez czterdzieści lat, a było wśród nich marzenie-postulat o powszechnej oświacie dla wszystkich i takiejż opiece zdrowotnej, o czym tu jeszcze będzie mowa.

Jeśli więc Gloger poznawał świat żydowski, to od dołu, od perspektywy, którą określa osobiste zetknięcie się szlachcica, ziemianina podlaskiego z bogatym życiem żydowskim okolic Tykocina, Supraśla i Białegostoku. Pierwociny tej relacji zapewne leżą w relacjach między „państwem”, „dworem” w Jeżewie, gdzie gospodarował, a okoliczną ludnością żydowską. Wzmacnia to rozeznanie edukacja średniego stopnia w Warszawie, gdzie zapewne poznaje inny od podlaskiego świat Żydów warszawskich w gorącym okresie okółpowstaniowym, gdy żywe są idee asymilatorskie, gdy odzywa się najwyższy ton wzniesłego braterstwa polsko-żydowskiego w obliczu wspólnego wroga rosyjskiego⁵, ale też zaczną się wkrótce rodzic antysemickie pomysły Jeleńskiego i jego „Roli”, kiedy zaostrzy się rywalizacja ekonomiczna w całym życiu społecznym⁶.

Nieodzownie trzeba dodać, że doświadczenie i refleksja Glogera obejmowały znacznie szerszy diapazon kultur: relacje Polacy – Niemcy, osadnicy i przemysłowcy niemieccy, problemy antagonizmu chłopów i ziemian, zagadnienia edukacji biedoty, kwestię cygańską, problemy rodzących/odradzających się narodowości, takich jak litewska, rusińska etc. Problem żydowski był ważnym, ale w jego perspektywie nie najważniejszym, co więcej, był problemem cząstkowym, elementem wielkiej mozaiki złożonej z samych pytań i niewielu odpowiedzi. Tym najważniejszym było pytanie, jak ukształtować nowoczesny naród, obejmujący wszystkie warstwy społeczeństwa, jego części, mniejszości, by z jednej strony podnieść poziom jego edukacji, cywilizacyjny stan ziem polskich, a z drugiej strony zachować związek z tradycją i historią tej polskiej (w jagielloń-

⁵ Nie oznacza to bynajmniej, że wszyscy żydowscy mieszkańcy ziem polskich byli nastawieni antyrosyjsko. Bywało wręcz odwrotnie. Nie oznacza to drugie, że nawet pojedyncze gesty polskich Żydów okazujących patriotyczne postawy nie miały znaczenia. Przeciwnie: epoka 1861–1864 to okres symbolicznego braterstwa żydowsko-polskiego, którego promieniowanie trwa po dziś dzień. Inne ujęcie: D. K. Sikorski, *Żydowskie powstanie 1863: bohaterowie, literatura, retoryka*, [w:] *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i w cieniu historii*, s. 93–110.

⁶ Por. M. Domągalska, *Zatrute ziarno. Proza antysemicka na lamach „Roli” (1883–1912)*, Warszawa 2015.

skim znaczeniu) wspólnoty⁷. W programie tym tkwiła immanentnie pewna nie wiadoma – czy możliwa do rozwiązania? – zagadka-sprzeczność, z którą do XXI wieku nie poradziły sobie wszystkie modernizujące się narody i społeczeństwa (a modernizują się... wszyscy, czasem to ukrywając, jak Anglicy, by nie uchybiać dumie i tradycji).

Proponuję Państwu trudną lekturę fragmentu relacji młodego 27-letniego Glogera z 1872 roku z podróży odbytej po Niemnie wraz z grupą przyjaciół. Podróż zaczyna się w Grodnie, kończy w Kownie. Grupa młodych (ale już nie nastoletnich) mężczyzn płynie wynajętą łodzią (tzw. czajką), zwiedza okolicę, dokonuje rozpoznania stanu zabytków, przygląda się rzece i jej mieszkańcom. Niemen w sposób bezdyskusyjny należy wtedy w wyobraźni Glogera i wszystkich Polaków do rzek domowych, polskich, płynących jak Wisła przez serce ziem, które, jak oni wierzą, kiedyś wrócą do odrodzonej Rzeczypospolitej w jej dawnych granicach⁸. Jest to okres popowstaniowy, trwają represje, szaleje cenzura. Krajoznawcza wyprawa po rzece – coś na pograniczu literatury i reportażu – przejdzie przez oko cenzora, ale, co ciekawe, dla każdego będzie oczywisty jej patriotyczny wydźwięk⁹. Sama publikacja jest już gestem ezopowym, *sui generis* aktywacją jednego z licznych dyskursów zastępczych, jakich używają Polacy, nie mogąc bezpośrednio mówić o swoich sprawach. Ten ukryty przekaz wzmacnia medium – uchodząca za katolicko-konserwatywną, a nawet, jak podśmiewywał się Gloger, „ultramontańska” gazeta: „Kronika Rodzinna” (pisarz publikuje w tym samym czasie także w zupełnie innych periodykach: „Kłosach”, „Tygodniku Ilustrowanym”, „Gazecie Warszawskiej”, „Gazecie Handlowej”).

Ma 27 lat, jest wykształcony, ale żadnych studiów nie skończył, choć długo słuchał wykładów w Szkole Głównej i na Uniwersytecie Jagiellońskim. Rwie się w teren i do pisania. Jak później zauważy sam i jego biografowie – wyobraźnia i aktywność przekreślają w jego przypadku możliwość jakiegokolwiek bezczynności, ale i systematycznej, „naukowej” pracy¹⁰. Do Łodzi wsiadają 2 czerwca 1872 roku. Wyprawę kończą 10 czerwca. Tekst powstaje zapewne z notatek, lecz już po powrocie do domu.

⁷ Por. B. Dopart, *Zygmunta Glogera „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni”*; M. Woźniewska-Działak, *Pytania o rację bytu narodowego. Wokół „Ojczyzny ze stanowiska chrześcijańskiego” Zygmunta Glogera*, [w:] *Zygmunt Gloger. Pisarz, myśliciel, uczonek. Studia*, red. J. Leończuk, J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016, s. 53–66, 83–94.

⁸ Ma w tym poprzednika nie było jakiego, bo Władysława Syrokomłę. Zob. tegoż, *Niemen od źródeł do ujścia. 1. Monografia rzeki Niemna od jego źródeł do Kowna. 2. Pamiętnik podróży żeglarza litewską wiciną z Kowna do Królewca*, Wilno 1861.

⁹ Tradycja takich wypraw po Niemnie i rzekach kresowych przetrwała do 1939 roku. Zob. W. A. Lasocki, *Kajakiem przez ziemie wschodnie Rzeczypospolitej*, Londyn 1978, ss. 182.

¹⁰ O szkolnych i uniwersyteckich perypetiach Glogera: J. Ławski, *Edukacja i światopogląd. Uniwersytety Zygmunta Glogera*, [w:] *Szkola Główna. Kręgi wpływów*, red. U. Kowalczyk, Ł. Książek, Warszawa 2017, s. 209–226.

Gloger publikuje *Dziennik podróży po Niemnie* w kilku numerach „Kroniki Rodzinnej” z 1873 roku (jest tu podzielony na części I, II ...)¹¹. To tekst żywy, znakomity literacko esej podróżopisarski – tak oceniam tę jego wersję.

Są bowiem jeszcze dwie inne: w 1888 roku opis podróży Niemnem przedrukowuje pismo krajoznawcze „Wisła”¹². Tu tekst ulega stylistycznym zmianom i zostaje dostosowany do charakteru pisma: „Miesięcznika geograficzno-etnograficznego”, wydawanego przez Jana Karłowicza, Artura Gruszeckiego, Erazma Majewskiego i innych światłych redaktorów aż od 1887 aż do 1922 roku. Tym razem znów tekst jest przeredagowany, wzbogacony ilustracjami, wskazującymi na naukowy, archeologiczny i etnograficzny charakter wyprawy.

Mijają lata, dokładnie lat 15 – i ten sam tekst znów ukazuje się, tym razem w 1903 roku jako pierwszy, kluczowy rozdział *Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy* (Warszawa 1903)¹³. Tekst jest znów zmieniony, tym razem stał się częścią pewnej całości, częścią poprzedzoną rekomendacją Elizy Orzeszkowej, którą dawniej napisała ona po przeczytaniu relacji zamieszczonej w „Wiśle”.

Powstaje więc następująca sekwencja wydarzeń: VI 1872 – podróż po Niemnie; 1873 – po około roku publikacja relacji w „Kronice Rodzinnej”; po 15 latach przedruk zmienionej wersji w „Wiśle” w 1888 roku; po kolejnych 15 latach druk kolejnej wersji jako część książki *Dolinami rzek* z 1903 roku. Od samej podróży do *Dolinami rzek* upływa 31 lat, od pierwodruku do kolejnego przedruku w kolejnej zmienionej wersji 30 lat. Po śmierci Glogera (1910) tekst żyje w reprintedach¹⁴.

Zdaję sobie sprawę, że wmieszenie tekstologicznych roztrząsań nie posłuży wartości mej narracji. Sądzę jednak, że obierając drogę na skróty, zmarnowali-

¹¹ Z. Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*, „Kronika Rodzinna” 1873, nry 10–13, 16, 18–20, 24; 1874, nry 3, 8, 14, 16. Tekst cytuję za: Z. Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*, [w:] tegoż, *Pisma rozproszone*, T. I: 1863–1876, red. J. Ławski, J. Leończuk, wstęp J. Ławski, G. Kowalski, opr. tekstów G. Kowalski, Ł. Zabielski, noty i słownik czasopism A. Janicka, indeksy M. Siedlecki, M. Jurkowska, Białystok 2014, s. 269–319. Fragmenty tekstu cytuję bez oznaczania przypisami, natomiast w *Aneksie* publikuję fragment relacji z epizodu w karczmie żydowskiej pochodzący ze stron 273–275.

¹² Z. Gloger, *Podróż Niemnem*, „Wisła”, I II, z. 1: styczeń, luty, marzec, Warszawa 1888, s. 30–84; tegoż, *Podróż Niemnem*, „Wisła”, T. II, z. 2: kwiecień, maj, czerwiec, Warszawa 1888, s. 247–305. Tekst cytuję z pierwodruku. Fragmentów nie oznaczam przypisami, w *Aneksie* całość epizodu omawianego pochodząca ze stron 49–54 T. II „Wisły” (styczeń, luty, marzec).

¹³ Z. Gloger, *Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy*, Warszawa 1903. Wszystkie cytaty z tego wydania. Cytatów nie oznaczam przypisami, w *Aneksie* przywołuję epizod w karczmie, który w pierwodruku jest na stronach 26–27.

¹⁴ Musi być rzeczą zdumiewającą, że przez prawie sto dwadzieścia lat od wydania tej doniosłej i pięknej książki podróżopisarskiej nie przygotowano ani jednego jej wydania krytycznego lub choćby z naukowymi komentarzami.

byśmy jedyną w swoim rodzaju okazję, by przyjrzeć się jednemu e p i z o d o w i r e l a c j i p o l s k o - ż y d o w s k i c h oglądanemu w tak długim horyzoncie czasowym.

Oto epizod postępu na brzegu zmusza wędrowców do tego, by szukać jedzenia i noclegu na głuchej prowincji, w miejscu, gdzie Czarna Hańcza wpada do Niemna. Dziś w tym miejscu na Białorusi zbiegają się granice Białorusi i Litwy, wtedy to dla tych młodych wędrowców część dawnej Rzeczypospolitej. Młody Gloger trafia do karczmy żydowskiej w szabas (piątek). Zniechęcony atmosferą karczmy, gdzie szabasowe modły mieszają się z pijaństwem chłopów i gości, próbuje nocować w łodzi. Ale jest to niemożliwe: chłód, świergot ptaków, zimna rosa. Wraca na noc do pomieszczenia wskazanego przez żydowskich karczmarzy. Odkrywa w nim chore, być może umierające dziecko – ale nie żydowskie, lecz chłopskie. Noc spędza niespokojnie przysypiając. Rano odpływa z towarzyszami podróżny.

Tę samą mikrohistorię zobaczymy teraz w trzech odstępach (1872/1873 → 1888 → 1903), w różnych autorskich zapisach. Wszystkie tezy opowieści o tym epizodzie wizyty w żydowskiej karczmie łączę jako *Aneks* do szkicu, byście mogli Państwo sami zobaczyć, porównać to, co przeżył i oddał słowem Gloger (i by oszczędzić zbyt długich cytacji). Żydzi pojawiają się w czasie spływu Niemnem wszędzie, od Grodna do Kowna. Z samych o nich opinii można by utkać artykuł.

Ograniczmy się jednak – konsekwentnie do opowieści o jednym epizodzie. Składa się on z dwu części, które chcę omówić każdą oddzielnie w trzech ujęciach z różnych lat: *primo*, części, w której Gloger i towarzysze wchodzi do karczmy w szabas, posilają się i rezygnują z noclegu,¹ próbując przenocować w czajce; *secundo*, z części, w której nękanym przez chłód, komary Gloger wraca do karczmy, by przenocować w jednym z pomieszczeń, gdzie natyka się na chore chłopskie dziecko.

Płynmy z prądem Niemna. Wartkim i zdradliwym, przyciągającym uwagę.

Karczma w szabasowe święto

Już w Grodnie odnotowuje Gloger ponadprzeciętną obecność Żydów: „Trzeba bowiem wiedzieć, że służba hotelowa i dorożkarska nawet w samej Jerozolimie nie mogła być obficie reprezentowana przez wyznawców Mojżesza niż w Grodnie”¹⁵. Grodno jest po prostu w dużej części zamieszkałe przez Żydów, „Hebrajczyków”, „Izraelitów”, „Hebreów”, jak ich nazywa Gloger¹⁶. W jego wobec nich relacji znać dystans – ale nie jest to dystans niechęci, lecz dystans mię-

¹⁵ Z. Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*, s. 270.

¹⁶ Znamienne, iż młody Gloger unika słowa *Żydzi*. Wpływa na to zapewne bajroniczna, ironiczno-wzniosła stylizacja.

dzy kupującym usługi a usługi oferującym, pogłębiony przez różnicę klasową i majątkową (ziemianin – Żyd).

Pisarz – ledwie wtedy 27-letni – nie eksponuje tej różnicy, lecz próbuje ją opanować literacko. Całą relację ze spływu stylizuje, sięgając do trzech z pozoru różnych źródeł: mitologii greckiej, Mickiewicza i pism Byrona (sic!). Ta pierwsza, mitologia, pozwala mu z lekką ironią napisać: „Wiktor pobiegł do Łosośny pożegnać się z żoną i dziećmi, lecz nazajutrz równo z blaskiem poranka hotel Gwirtza przy ulicy Brygidzkiej miał się stać greckim Jolkos, z którego podlascy Argonauci na tej samej trzęsącej kołamuszce, ciągnięci przez tę samą szkapę, mieli wyruszyć do swego Argo spuszczonego na fale Chronosu”¹⁷. Wiktor Mazurkiewicz to z kolei chłop, flisak, najęty, by pokierować wyprawą rzeczną. Nie oszczędza go ciepła, pogodna ironia narratora. Wyraźnie widać w tej narracji wpływ poematu dygresyjnego. Autor a to sięga po wzniosłe strofy Syrokomli, a to po chyba świeżo czytane *Podróże Childe-Harolda* Byrona (z 1857 roku)¹⁸, żegnając Grodno strofami tegoż hiperironicznego utworu:

Teraz nastąpiło istotne rozstanie się Argonautów z Grodnem, do którego nakręciłem pożegnanie Childe-Harolda:

Bywa mi zdrowy grodzie sędziwy!
Już w mglistej niktujesz powłóce,
Już Niemen szepce głębin swych dziwy,
Litewski słowik świergoce.

Tu rzeczywistość, niebaczną na estetyczne poczucie piękna w poezji, sama domówiła pożegnanie z tobą:

Faktorze cheiwy i bruku krzywy,
I wieczny żydów szwargocie!¹⁹

Ten ostatni dwuwers mogliśmy dziś potraktować jako co najmniej niezręczny. Dla Byrona i Mickiewicza, dla czytającego ich Glogera był on ironiczno-

¹⁷ Wyjaśnijmy, że Chronos – to Niemen, Jolkos – to miasto nad Niemnem, a Argonauci to poszukiwane złote runo z greckiego mitu.

¹⁸ Za życia Glogera ukazały się trzy przekłady *Wędrówek Childe Harolda* (1809–1818) Lorda Byrona: Michała Budzyńskiego (1811–1864) z roku 1857, który zapewne czytał nastoletni Gloger, oraz Jana Kasprowicza (1895) i Aleksandra Krajewskiego (1896), a więc z czasów, gdy Byron już autora *Dolinami rzek* nie interesował. Por. *Poezja Lorda Byrona w tłumaczeniu polskim*. T. 1: *Wędrówki Czajld-Harolda*, wydane staraniem B. M. Wolffa, z ang. przeł. M. Budzyński, Petersburg 1857.

¹⁹ Czterowers to parafraza 1 strofy *Pożegnania Czajld Harolda*. Z *Lorda Byrona* Mickiewicza z 1825 roku. Zdaniem opracowującego *Pisma rozproszone* Glogera autora przypisu nr 32 (T. 1, s. 312): „Najprawdopodobniej dwuwers [jest] autorstwa Glogera”.

-czułym opanowanej nieznośnej i niezręcznej rzeczywistości społecznej, chaosu walki o przetrwanie, która jednych wynosiła na szczyty, a innych przesuwała na pozycje żenującej rywalizacji. Była to rzeczywistość tak samo dla wszystkich upokarzająca: biedna, pełna przesądów i stereotypów, niepiękna (co sam Gloger uprzedza – przywołując wers o „wiecznym żydów szwargocie”; *nota bene* słowo *żyd* pisze się wtedy konsekwentnie małą literą, co staraliśmy się chyba aż nadgorliwie uwspółcześniać w wydaniu pism Glogera).

7 czerwca w trzecim odcinku relacji w „Kronice Rodzinnej” podróżnicy wkraczają do karczmy żydowskiej: „Rzęsista iluminacja w oknach sieniewickiej gospody oznajmiła, że gazdowie jej gwoli piątkowemu wieczorowi rozpoczęli starożytne Hebreów święto Sabatu”²⁰. Zdanie to – pisane ręką Argonauty-Byrona – ma w sobie ironiczną lekkość stylu, ale i powagę pięknego nazwania święta żydowskiego. Stylistyczna narowistość ironisty miesza się w nim z kulturą wykształconego panicza, ale obie dyskutowane są przez realia podróży. Wędrowcy chcą jeść i spać, tymczasem – „Odgłos modlitwy licznie zgromadzonych współwierców”²¹ nie wzbudzał nadziei znalezienia tu spokojnego noclegu i posiłku”. Ale nie tylko to niweczy nadzieje, bo także – równocześnie – chrześcijańscy chłopci korzystający z wyszynku nie obiecują spokoju. I teraz wobec nich Gloger uruchamia subtelną ironię: „Przed karczmą stała gromada gwarzących kmiecia, których pozdrowiłem po chrześcijańsku, co było wstępem do zapytań, a o podróży dało dobre wrażenie”. Różnicę my – oni (Żydzi) Gloger ujmuje wyłącznie w kategoriach religijnego typu: wyznawcy judaizmu – wyznawcy chrześcijaństwa, a także ekonomicznych: źle wyglądający wędrowcy, którzy jednak wykazują pewne oznaki majątkowości („mosiężne gwoździe i rączki naszych tłumoczków”) – społeczność wiejska, której częścią są zarówno Żydzi, jak wieśniacy nieżydowskie. Skupia się ona w jednym miejscu, gdzie obie społeczności dokonują w tym momencie wymiany dóbr (jakich?): w karczmie.

Opis karczmarza i karczmarki ma cechy realistyczne, lekko tylko zniekształcone przez byroniczną ironię (chciałoby się dodać: ironijkę):

Zaledwie zamieniłem z wieśniakami słów kilka, gdy wybiegła z gospody wystrojona świątecznie w czepku z żółtymi i zielonymi wstążkami ciekawa żona arendarza, a za nią przez wysoki próg przestąpił sam gospodarz w satynowym czarnym żupanie, pończochach i pantoflach, z jedną ręką spoczywającą na żołądku za pasem, który stanowiła kolorowa chustka, jakiej zażywający tabakę używać zwykli. Z cie-

²⁰ Oczywiście motyw karczmy i karczmarza na bogatą i wieloznaczną dokumentację w literaturze polskiej. Zob. M. Inglot, *Postać Żyda w literaturze polskiej 1822–1864*, Wrocław 1999; A. Fabianowski, *Karczmy i zajazdy. Literackie opisy przestrzeni wielokulturowej*, „Ars Inter Culturas” 2010, z. 1, s. 147–154; M. Opalski, *The Jewish Tavern-Keeper and his Tavern in Nineteenth-Century Polish Literature*, Jerusalem 1986.

²¹ Słowo *współwierca* (czyli: współwyznawca) nie jest częste nawet w XIX wieku. Zapewne należy do stylizacji ironiczno-wzniosłej.

kawością zmierzył nas od stóp do głów, bo prosty nasz ubiór niewiele wzbudzał respektu, lecz w opinii arendarza zostaliśmy uratowani przez mosiężne gwoździe i ramki naszych tłumoczków. Na zapytanie o nocleg, udając bardzo domyślnego, odpowiedział nam, iż wie dobrze, że jesteśmy inżynierami, którzy mają oczyszczać Niemen dla żeglugi parowej i że dla takich ludzi gościnności nie odmówi!

By potwierdzić swój wysoki status społeczno-majątkowy, podróżni uciekają się do małej mistyfikacji, udając, że „badamy Niemen na prywatne żądanie pewnego kapitalisty²². Stosunek z kapitalistą podniósł mnie tym wyżej w oczach arendarza (...)”. Lecz w karczmie uderzają warunki trudne do zniesienia dla kogoś „ze dworu”: „Gorąco było nieznośnie, a niezliczone roje much dzieliły zgiełk z wieczerzą szabasową”. W karczmie odbywają się bowiem naraz dwa rytuały XIX-wiecznego świata: wymiana handlowa, handel wszystkim, co oferuje karczma (w tym wódką) nieżydowskim chłopom – i uroczysta wieczerza szabasowa, na której zgromadzili się właściciele karczmy i pobliscy Żydzi. Te dwa zupełnie różne wydarzenia trwają i zlewają się na oczach Glogera w tym samym czasie i miejscu. Jasne, że sam już tego zapis jest postawieniem pytania – bolesnego, drażącego – o ten świat, w którym on, Gloger, żyje. Jest za młody na odpowiedzi, nie ma jeszcze ideologicznych wytrychów do rzeczywistości, więc broni się przed tym, co widzi, dystansującą ironią narracji.

Religijni, ortodoksyjni Żydzie nie są dlań czymś zaskakującym, pisze o nich czule-ironicznie. Nowa jest dlań społeczna sytuacja, w której się znalazł. Bryluje przed Żydem arendarzem „kompasem podróżnym”, wzbudzając nadzieje u słuchacza: „Dalej nastąpiły objaśnienia arendarza o potrzebie urządzenia tu przystani dla parowców”. Byłby z tego zysk, byłaby korzyść. Młody Gloger jest wtedy w fazie pozytywistycznego zachłyśnięcia ideą postępu cywilizacyjno-technologicznego²³. A tu, w partykularzu, spotyka nagą rzeczywistość: Szabas i życie karczmy w jednej przestrzeni. Wędrowcy kupują herbatę, spożywają bułion przywieziony przez siebie, proszą o „wiązkę siana lub słomy” i wskazanie „niezamieszkałej komory” na nocleg, bo spać w gwarze karczmy na „dwu łóżach dźwigających piramidalne stosy różnobarwnej puchowej pościeli” nie mógł. Wychodzą z karczmy: „Kto doświadczył w życiu powrotu do zdrowia z ciężkiej niemocy lub wzroku ze ślepoty, ten niech sobie wyobrazi rodzaj naszego rozkosznego uczucia, jakiego doznaliśmy przy wyjściu z izby karczemnej pod gwiaździste niebo letniej nocy nadniemeńskiej”. Po tych słowach następuje wspaniały opis wieczoru, spaceru, prób usnięcia, nawet samej Czarnej Hańczy: „wszystko

²² Słowo *kapalista* też nabiera tu cech ironicznych. Oznacza jednak właściciela kapitału, który chce go zainwestować; dopiero później nabierze ideologicznych znaczeń.

²³ Zob. A. Janicka, *Zygmunt Gloger wobec teorii i praktyki pozytywizmu*, [w:] Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. II: 1877–1889, Białystok 2015, s. 23–40; M. Rutkowski, *Zygmunt Gloger wobec gospodarki*, [w:] Z. Gloger, *Pisma rozproszone*, T. III: 1890–1910, Białystok 2016, s. 43–70.

przypominało cudny obraz tajemniczej Świtezi”. A więc Mickiewicz. Lecz to nie tylko stylizacja, bo kto zna życie nad wodą, wie, że latem co wieczór można doświadczać takich kosmicznych zjednoczeń nieba i ziemi przez wodne odbicia.

Po impresji romantycznej następuje jeszcze cały akapit o Hańczy, jej nazwie²⁴, Antonim Tyzenhauzie (jedna z ulubionych postaci XVIII wieku u autora *Dolinami rzek*) i jego przemysłowych pomysłach.

Ale nas niech skupi inne pytanie: skąd wyszedł wędrowiec? Wyszedł z karczmy. Nie z żydowskiej karczmy, lecz z karczmy, gdzie skupiła się w tej chwili cała nędza i paradoksalność XIX-wiecznego świata: wyszynk i Szabas. On, młody entuzjasta cywilizacji, zapisał to w jedyny godny sposób: ujął w ironicznej ramie. Każdy miał tu swe życie: Żydzi świętowali i prowadzili wyszynk, a chłopci, których pisarz smaga tą samą ironią, chcieli się napić. W oku Glogera – jeszcze dość bezbronnym – skupia się całe skomplikowanie stosunków społecznych. Patrzy on okiem człowieka świadomego sprzeczności świata będącego w fazie kapitalistycznego rozkwitu, gdzie wszystkim rządzi pieniądz. To dlatego Żydzi i świętują, i w tym samym momencie – handlują. To dlatego chłopci idą po „rozrywkę” w Szabas do karczmy. Nikt tu nie uważa tego za niestosowne. Więcej: to okazuje się w tym miejscu, na krańcu świata, u zbiegu Czarnej Hańczy i Niemna – „normalne”.

Czy zupełnie normalne? – co do tego wątpliwości wzbudzi w wędrowcu druga część historii.

Teraz jednak wszyscy marzą o śnie w łodziach, byle dalej od dusznej karczmy:

Przy tak pięknej nocy zamierzeliśmy w samotnym zaciszu nad Hańczą przenocować, lecz przeszkodziła temu obfitość rosy na bujnej trawie, w której przemokłaby cała nasza odzież. Radzi nie radzi, powróciliśmy więc do czajki, w której nocował Wiktor, pilnując jej zarazem, bo, jak mówił, kradzież wszelkiej rzeczy niezamkniętej i niepilnowanej na brzegu rzeki uważana jest nie za grzech przez oryli, ale za znalezienie, a my przecież nie zgubiliśmy czajki, nie życzyliśmy sobie, aby ją kto znalazł. Oddalając od siebie myśl powrotu do atmosfery karczemnej, układaliśmy się na spoczynek w łódce, ale chłód nocny nad wodą tak stał się dokuczliwym, że letnia odzież nasza nie mogła od niego zabezpieczyć, a do tego nad naszymi głowami rozlegał się śpiew takiego mnóstwa słowików, że o *pożarnym* śnie ani myśleć nie można było. Pocieszał tylko Wiktor, który także drząc od zimna zasnąć nie mógł, że gdy jęczmień zacznie się kłosać, czyli, jak mówił, kłosa „wywijać”, co miało nastąpić za parę tygodni, wtedy słowiki zamilkną.

Jak widać, moralność oryli (flisaków)²⁵ też jest plastyczna – co znalezione na brzegu rzeki, nie jest kradzione. Trzeba pilnować swego. Ale „chłód nocy” nie da

²⁴ Gloger zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że przywołuje tzw. etymologie ludowe, najszlachetniej traktując je jako część kultury ludu.

²⁵ Słowo oryl – oznaczało po prostu flisaka. Inaczej niż dziś nie kojarzyło się ze sphywami Dunajem, lecz z powszechnie nad rzekami uprawianym zawodem.

zasnąć: „Pierwszy raz w życiu uciekając od śpiewu słowików i zimna w czerwcu (...), poszedłem szukać owej komory z sianem u arendarza, a otworzywszy wskazane drzwi, znalazłem się w ciemnej, izbie, gdzie przeraźliwym krzykiem powitały mnie dwie czujne gęsi tuczone. Były to widać nieodrodne prawnuczki swych kapitoliańskich prababek, a prędeż litewskich, które miały być godłem Warpasa, bożka pobudki”.

W tej izbie znajdzie coś/kogoś, co/któ nie da mu spokojnie zmrzyć oka, ani nawet nie pozwoli na ironiczne gierki mitologią...

Tymczasem popatrzmy, jak ta sama relacja z karczmy zmienia się 15 lat później i 30 lat później: w „Wiśle” i w *Dolinami rzek*. Kim są teraz ci sami Żydzi, czym ta męcząca sytuacja karczemnego epizodu?

W 1888 roku relacja z podróży – jako całość – jakby unaukowia się, dostosowuje do profilu pisma „Wisła”, periodyku „geograficzno-etnograficznego”²⁶. Wędrowiec teraz będzie etnografem i archeologiem, eksponującym bardziej naukowy cel wyprawy. Okazuje się jednak, czego nie było w relacji z 1873 roku, że wizytę w tej a nie innej karczmie polecił Glogerowi chłop-flisak, Wiktor: „O zmroku już puściliśmy się z Niemnowa na nocleg do niedalekiej a zachwalanej przez Wiktora gospody, leżącej naprzeciw przełomu. W pośpiechu więc musiałem pominąć wieś Sieniewicze na piaszczystej górze, gdzie prawdopodobnie mógłbym znaleźć ślady siedlisk starożytnych”. O ile w 1873 roku dominuje koloryt obyczajowy, to teraz ironia stygnie, zostają ornamenty mitologiczno-humorystyczne („nadobna bogini miłości Aleksota”), dominuje zaś koloryt czy ethos naukowej wyprawy. Wygląda to tak, jakby Gloger przed oddaniem tekstu do „Wisły” zajrzał do swych gorąco pisanych notatek z podróży, a może jakiegoś planu podróży z zaznaczonymi miejscami, gdzie chciał dokonać odkryć archeologicznych.

Początkowy fragment opisu karczmy Żydów jest identyczny. Ale od pewnego momentu – gdy mowa o muchach, zaduchu – całkowicie znika ironia. Opis staje się realistyczny. 43-letni Gloger nie ma już chęci na zabawy w Childe-Harolda; jest teraz Polakiem (co dyskretnie podkreśla, rozbudowując wątek miłości do ojczystej przyrody) i naukowcem-reporterem (rzeczowym). O dziwo, opis wizyty we wnętrzu karczmy zmienia się w szczegóły:

Przy nieznośnem gorącu niezliczone roje much dzieliły zgiełk i wieczерzę szabasową. Zaproszono nas do ciasnego za szynkownią alkierza, który był sypialnią państwa arendarzów i posiadał wszystkie przymioty izby pierwszej, jakich nie mogłem

²⁶ Dzięki publikacji w „Wiśle” Glogera dostrzegła Eliza Orzeszkowa, która napisała pochlebny artykuł o jego podróży: tejsze, *Listy z ustronia*. IV, „Kraj” 1890, nr 11. Fragment z tego tekstu trafi jako przedmowa do fragmentu *Dolinami rzek*. Zob. J. Ławski, *Tajemnica „przedmowy” Orzeszkowej do „Dolinami rzek” Zygmunta Glogera*, [w:] *Eliza Orzeszkowa. Pamięć kultury. Studia i glosy*, red. J. Ławski, S. Musijenko, Białystok – Grodno 2019, s. 311–328.

ani w części usunąć przez otworzenie okien, bo były zabite gwoździami. W dowód poważania ofiarowano nam tutaj do noclegu dwa łóża małżeńskie, zajmujące prawie całą przestrzeń szczupłej izdebki, a dźwigające piramidalne stopy różnobarwnej pościeli puchowej pod pewnym rodzajem baldachimów. Z prawdziwą wdzięcznością odmówiliśmy wszystkiego, co nam tak szczerze ofiarowano i poprosiliśmy tylko o skromną więź siana lub słomy do jakiejś niezamieszkaanej przez ludzi komory.

Z relacji tchnie teraz prawdziwą wdzięcznością wobec żydowskich gospodarzy, którzy oferowali własną sypialnię na nocleg, a opis łóża eksponuje jeszcze jego bogactwo („baldachim”). Odmowa – z powodu zabitych gwoździami okien, których nie można otworzyć (z obawy przed złodziejami) – jest pełną wdzięczności, a sama propozycja „szczerza”. Jeszcze jeden rys uzupełnia relację: wędrowcy posilają się „herbatą i pieczywem szabasowym”. Tak posileni idą w cudną, czerwcową noc do swojej łodzi: „Wszystko to zebrało się w dziwną harmonię poezji, która, podnosząc duszę ku Bogu, potęguje w sercu gorącą miłość do domowej ojczystej przyrody”. Ten wzniosły passus był w tekście z 1873 roku, ale teraz Gloger urzeczony obrazami rozlewisk Hańczy i Niemna ma jeszcze potrzebę zacytowania dwóch słynnych strof *Świtezii* Mickiewicza („Jeżeli nocną przybliżysz się dobą...”) ²⁷. Podróżopisarz wzbogaca teraz komentarz dotyczący ludowych etymologii nazw (Hańcza, Iłża), podkreślając, że są to „uklecone” opowieści. Nie jest teraz ironistą, lecz naukowcem. Ale nie do końca: stał się także władcą dwóch dyskursów, które umiejętnie włącza w dominujący dyskurs podróźniczy: naukowego i patriotycznego. Rozpiera go – po latach! – stylistyczna wena, zmienia więc nawet, koloryzuje szczegóły nieudanego noclegu w łódce, którą „przeistoczyliśmy na arcypoetyczną sypialnię na falach Niemna”. Znika ironista, zostaje pogodny narrator, który bawi się językiem, stylem, mitem i literaturą. Choć to już zabawa poważniejsza.

Wracając do karczmy – czego nie było w poprzedniej relacji – natyka się jednak na pijanych „gości” karczmy: „Zajrzawszy do szynkowni, zastałem w niej nowych jakichś gości o podejrzanym i niesympatycznym wejrzeniu, którzy, zmierzwszy mnie ponurym okiem, dalej częstowali się gorzałką”. Słabe oświetlenie izby czyniło ją podobną do jakiegoś „tajemniczego podziemia” (ale już Charona nie przywołał...). I wtedy, otworzywszy kolejne drzwi, wkracza do komory, gdzie witają go (tu następuje uszczegółowienie) dwie gęsi „przeznaczone do tuczenia przez żonę arendarza”. Ot, po prostu fakt: Żydzi jadaliby gęsi ²⁸.

²⁷ Nawiązanie do Mickiewicza ma tu charakter złożony: jest przywołaniem (już) społecznego autorytetu wieszczki, ale sięga też głębiej w ludowe i ogólnopolskie znaczenia wody, rzeki. Zob. J. Bartmiński, *Rzeka w językowo-kulturowym obrazie świata Polaków*, [w:] *Urzeczenie. Loce literatury i wyobraźni*, red. M. Jochemczyk, M. Piotrowiak, Katowice 2013, s. 53–66.

²⁸ Gęsi były „towarem eksportowym” Podlasia, o czym Gloger wielokrotnie pisał serio w swych felietonach o gospodarce.

O dziwo więc, relacja „geograficzno-etnograficzna” uobiektywia obraz karczmy. Nie przestaje ona być miejscem zastanawiającym, ale jej gospodarze Żydzi są gościnni, w przeciwieństwie do ponurych, pijanych nieżydowskich gości.

Mija kolejne 15 lat i taż sama podróż Niemnem zostaje włączona w *Dolinami rzek* (1903). Od wyprawy upłynęło ponad 30 lat! *Dolinami rzek* ma jeszcze inny cel. To książka-summa, bogato ilustrowana zdjęciami, rysunkami. Ma utrwaląć pamięć wspaniałej przeszłości narodu, ale i dokumentować zmiany, jakie dokonały się wokół rzek, „na rzekach”. Każdą relację z przeszłości uzupełnia relacja późniejsza. Tom jest zamknięciem i podsumowaniem: pisarz ma 58 lat, za trzy lata zamieszka w Warszawie (1906). Świat Jeżewa, Podlasia, Wielkiego Księstwa Litewskiego jako bezpośredniego doświadczenia odchodzi dlań w przeszłość.

Gloger zmienia tekst, dopisuje, skreśla. Znow Grodno żegna parafraza *Childe Harolda* („Bywaj mi zdrowy, Grodnie sędziwy” etc.), ale już bez dwuwiersza: „Faktorze chciwy i bruku krzywy / I wieczny Żydów szwargocie!”. Cały Byron zniknął w relacji opublikowanej w „Wiśle” – tutaj zaś po okrojonym cytacie następują długie wywody o kukulce, rzece i jej historii.

Piękny językowo tekst ulega pewnej etnografizacji, zmieniając się w opowieść o rzece i świecie, przez który ona płynie. Autor przedstawia akcent, i to mocno, na świat, który widzi podróżnik. On sam jakby znika, wycofuje się z tekstu – i już nie ironizuje²⁹. Znika też Wiktor, flisak, który polecił karczmę: „O zmroku wyszliśmy z Niemnowa na nocleg do gospody, położonej naprzeciw Przełomu. Poniżej Sieniewicz minęliśmy sporą wyspę i na lewym brzegu torfowiska bardzo ciekawe, z tego względu, że stanowiące wybrzeże, sięgało dość głęboko pod poziom niskiego obecnie stanu wody w Niemnie”. Podziwiamy pamięć narratora. Po trzydziestu latach przytacza on wciąż nowe szczegóły, inne znikają z relacji.

Zmienia się zdanie inicjujące wizytę w karczmie: „Rzęsiste światło w izbie karczemnej zapowiadało, że gazdowie tego przybytku, gwoli piątkowego wieczora obchodzili starożytne święto Sabatu”. Z chwytów ironicznych zostają już tylko „gazdowie”³⁰, znikają czule-wzniośle-ironiczni Hebreowie, ale pozostaje „starożytne święto Sabatu”. Zmienia się leksyka: „współwierców” modlących się

²⁹ Badacz tekstów Glogera posunął się nawet do – dla mnie nie do przyjęcia – sugestii, że trzeba by wydając *Dolinami rzek* uzupełnić ten tekst o fragmenty obecne w innych relacjach Glogera, a nawet „wymienić” całe fragmenty *Dolinami rzek* na „lepsze”, te wcześniejsze. Zob. G. Kowalski, „*Dolinami rzek*” Zygmunta Glogera z perspektywy edytorskiej, „Sztuka Edycji” 1/2017: „Już na tym etapie można poczynić pewne spostrzeżenie, o którym warto pamiętać, porównując trzy redakcje podróży Niemnem. Mimo że Gloger autoryzował wersję ostateczną, trudno nie pokusić się o stwierdzenie, że w niektórych momentach poszczególne obcości powinny być szczegółowo omówione, w innych zaś należałoby zapewne uzupełnić tekst *Dolinami rzek* o fragmenty dostępne jedynie w poprzednich redakcjach, jeśli nie uczynić tekst oboczny tekstem głównym”.

³⁰ Słowo *gazda* (hungaryzm), *gazdowie* kojarzy się dziś jednoznacznie z tradycją góralską – raczej też tak było w XIX wieku. Gloger więc ciepło ironizuje.

w karczmie zastępuje „kilkunastu talmudystów”³¹. Opis Żydów arendarzy prze-trwał właściwie bez zmian, fortel z udawaniem „inżynierów od Niemna” zostaje powtórzony, na końcu: „Żyd też kłaniając się, zapraszał nas uprzejmie do gospo-dy”. Jednak wzajemna uprzejmość nie była konwencją – jej pamięć jest zapisana w każdej z trzech wersji wyprawy. Wszędzie ten sam jest powód opuszczenia karczmy: zapach, zaduch. Tym razem Gloger wprowadza nowe uszczegółowie-nia, bo okazuje się, że w karczmie mieszają się „wyziewy” wódki pitej przez chłopów-chrześcijan i „cebuli” spożywanej chyba przez wszystkich:

Różnica ciężkości gatunkowej powietrza zewnątrz i wewnątrz domu musiała być olbrzymia. Niemiłe wyziewy szynkowanej, najgorszego gatunku wódki walczyły o pierwszeństwo z odorem obficie spożywanej cebuli. Dziwne było, iż w podobnie trującym zaduchu potrafiły zachować życie i ruchliwość miliardy much i że tylko chyba dlatego owady te z izby karczemnej nie uciekły, że okna jej nie były nigdy otwierane. Ponieważ szynkownia była w obecnej chwili domem modlitwy, gospodarz zaprowadził nas do „alkierza”, czyli sypialnej swojej za szynkownią izdebki, która do wszystkich zalet izby pierwszej, łączyła idealną ciasnotę. Dwa bowiem łoża z niebotycznymi piramidami puchowej pościeli, pod firankami podobnymi do baldachimów, tak dalece wypełniały całą przestrzeń alkierzyka, że na żaden sprzęt inny nie było już w nim miejsca. Tutaj to gościnny gospodarz ofiarował nam nocleg i z pewnym zgorszeniem i podziwem spojrzął na nas, gdyśmy zażądali jakiej szopy z sianem lub słomą do wywczasu.

W kolejnej już relacji realizm (bolesny realizm) łączy się z obiektywizmem. Znika rozładująca napięcie bajroniczna ironia, za to pojawia się nieuprzedzo-ny opis rzeczywistości: „Siana nie było, chyba w herbacie, którą popijaliśmy, jedząc wcale niezłe szabasowe gugle”. Gugle, czyli – kugle³², danie z ziemnia-ków, makaronu lub ryżu z rodzinkami. Czy pamiętamy jeszcze, że młody ironista miał tylko wypić bulion przywieziony ze sobą od mamy? Gdzie podziało się „pieczywo szabasowe”? Czy pierwsza relacja nie koloryzowała rzeczywistości? Zapewne. Z przeżyć lepiła literacki przekaz podszyty impulsami bajronicznego podróżopisarstwa.

Wizyta w karczmie okazała się wydarzeniem ambiwalentnym: podróżnicy nakarmili się, nawiązali uprzejmą i pełną szacunku relację z żydowskimi gospodarzami, ale nie skorzystali z ich sypialni, przerażeni ciasnotą, hałasem i zapachami: „Jak człowiek tonący, który wydobył się spod lodu na powietrze, tak my dozna-liśmy podobnej rozkoszy wychodząc z karczmy pod gwiazdzone niebo wspania-łego wieczoru nad Niemnem”. Ileż wysiłku stylista włożył w wyrażenie chwili,

³¹ Talmudysta – to Żyd studiujący Talmud, szerzej Żyd ortodoksyjny (także synonim wstecznic-twa). Tutaj z lekkim negatywnym znaczeniem jako synonim ciemnoty, braku postępu.

³² *Gugle* nie są tu błędem, literówką – tak nazywano na Podlasiu żydowskie szabasowe *kugle*.

gdy uwolnił się od przestrzeni karczmy: było to podobne do „powrotu do zdrowia z ciężkiej niemocy lub do wzroku ze ślepoty” (1873), do „powrotu z ciężkiej niemocy do zdrowia lub ze ślepoty do odzyskania wzroku” (1888), a w końcu do haustu powietrza tonącego, który wynurza się zimą spod lodu (1903).

Czy to jednak zapis „antysemityzmu”, „niechęci” do Żydów? Właśnie i jednoznacznie: nie! To zapis doświadczenia – było ono takie a nie inne. Pobożny Żyd zdziwił się na widok panów, co nie chcą spać w jego sypialni, a oni uprzejmi, doceniający gościnność arendarza, uciekli na świeże czerwcowe powietrze, z którego przegnał Glogera chłód nocy. Gloger rozbudowuje teraz partię „ideową” opisu nocy, natury – *Dolinami rzek* miała być książką uczącą patriotyzmu: „Jakże nie kochać tej przyrody, kiedy to wszystko takie swojskie, takie rodzinne, wykarmione sokami tej ziemi i wonią tych pól, tych ognisk domowych”³³.

Pamiętajmy, że od trzydziestu lat ten sam Gloger prowadzi też inną wojnę z częścią własnej klasy, ziemiaństwa, która go za to nie cierpi. To wojna o uznanie ludu za część narodu, a jego folkloru za nieodrodną część tradycji. Zadanie, jakie przedsięwzięje na siebie publicysta, zdaje się beznadziejne: scalać naród z tak różnych warstw jak ziemianie i chłopci, z tak różnych części jak Żydzi, Polacy, Rusini, Litwini i inni, chrześcijanie i wyznawcy judaizmu. Z jednej strony więc idealizuje świadomie lud, z drugiej widzi jego nędzę, często też moralną. W relacji z 1903 roku właśnie te dwie tendencje się zdarzają.

Jeśli lud jest tak wspnianały, to co robi przy wódce w karczmie Żyda, i to wtedy gdy świętuje on Szabas? Wracający do karczmy, Gloger natyka się raz jeszcze na podejrzane towarzystwo klienteli skupionej wokół wódki. Znów szczególnie ulegają odmianie:

Gustaw został na łódce, ja poszedłem szukać noclegu przy domostwie arendarza. W gospodzie zastałem nowych i trochę podejrzanych turystów, którzy sami nalewali sobie „siwuchę” z kwarty, bo gospodarz gwoli święta nie mógł własnoręcznie tego uskuteczniać. Do fetoru wódki i cebuli przybył jeszcze dym ich machorki. Prosiłem o wskazanie jakiej stajenki lub wozowni. Otworzono mi izbę w drugiej połowie domu, gdzie powitały mnie chóralnym okrzykiem przestrachu trzymane w kojcu prawnuczki kapitołińskich zbawicielek, tuczone zapewne na szmalec przez żonę arendarza. Nie darmo i na Litwie powstała bajeczka, że ptaki te były godłem Warpasa, pogańskiego bożka pobudki.

³³ Widać tu, sądzę, echa nowej atmosfery – gorszej – jaka zapanowała w latach 80. między wszystkimi mieszkańcami ziem polskich. Rosły napięcia, wzrastała emigracja, potęgowały się napięcia między społecznością chłopską a żydowską. Od 1881 r. wychodziła antysemicka „Rola” Jeleńskiego. Zob. A. Jagodzińska, *Pomiędzy. Akulturacje Żydów Warszawy w drugiej połowie XIX wieku*, Wrocław 2008; W. Moczalowa, *Konflikt – wyobcowanie – wrogość – obojętność w środowisku żydowskim w Europie Wschodniej w XIX-XX wieku w zwierciadle literatury, publicystyki i pamiętnikarstwa*, [w:] *Żydzie wschodniej Polski*, Seria V: *W kręgu judaizmu*, s. 81–96.

Pijący siwuchę zdają się teraz „turystami” („trochę podejrzanymi”, ale opis z 1888 roku zostaje osłabiony). Karczmarz nie obsługuje gości, bo dziś Szabas. Nowi goście palą machorkę, co jeszcze pogarsza powietrze w karczmie. Tylko gęsi są te same, choć dowiadujemy się, że tuczone są „na szmalec przez żonę arendarza”. Co relacja, to trochę inne szczegóły, uszczegółowienia, dopowiedzenia. Tylko karczma ta sama, ta sama sytuacja.

Wszystkie trzy opisy pokazują nie jakiś konflikt polsko-żydowski, tylko istny żmut, supeł nierozpłatywalny relacji na prowincji: polsko – żydowsko – chłopsko – pańskich. Pokazują też ustaloną równowagę tej relacji – jeśli nawet razi na ona dziś (Szabas i wyszynk w tym samym miejscu), to nie dziwi owoczesnych obserwatorów.

Gloger nie owija tych realiów interpretacjami. Karczma to tylko epizod – właśnie dlatego badamy go tak dokładnie i po trzykroć. Nie sływa rzeką: żeby zobaczyć stosunki żydowsko-polskie na prowincji, nie pisze pamfletu na żydowskich karczmarzy gubiących chrześcijańskich chłopów, tylko pokazuje ich wspólne *zamazanie* we wspólnej nędzy.

Chwilę potem, gdy Glogera przywiwały „kapitolińskie” gęsi, zauważy on coś, co całkowicie zmienia wymowę sytuacji.

Dziecko

W pomieszczeniu, do którego skierowano Glogera, znajdowały się zwierzęta (kury i gęsi) oraz żarna. Każde z nich miało swój kąs – ale w jednym leżał człowiek, jęczący, chory 10-letni chłopiec – wracamy do *Dziennika podróży po Niemnie* z 1873 roku.

Z rogu komory dochodziły mnie jakieś przytłumione jęki. Zapaliwszy świecę, zobaczyłem, że znajduję się w dość obszernej pustej izbie, na środku której leży dla mnie posłanie ze słomy przykryte białym płótnem. W jednym kącie stał kojec z gęśmi, w drugim z kurami, w trzecim stały poważne żarna, a w czwartym równie na słomie leżał dziesięcioletni, wychudły i blade, ale o pięknych rysach chłopiec, trawiony gorączką po paroksyzmie zimnicy. Dowiedziałem się od niego, że jest synem biednej wdowy, która służy u arendarza jako szynkarka i zajęta jest swoim obowiązkiem w szynkowni, gdzie zgiełk dotąd nie ustawał. Zajrzawszy tam przez uchylone drzwi od sieni, zobaczyłem oprócz dawniejszych gości szabasujących kilku nowych przybyszów chrześcijan o niesympatycznym i podejrzanym wejrzeniu, którym matka chłopca nalewała gorzałkę w szklanice i od czasu do czasu objaśniała szabasówki palące się w mosiężnym pająku, której to czynności nie wolno świętującym dopełniać. Chory chłopiec zostając bez opieki tłumił swe jęki nieco zmieszany moim przybyciem, a gdy go zapytałem, czy nie potrzebuje czego, wyjąknął z cicha, że pali go pragnienie, a gdy szukał wody, wskazał przyniesioną w wiaderku dla gęsi, której podałem mu kubek.

Chłopiec jest, jak czytamy, dzieckiem chrześcijańskim, „synem biednej wdo-

wy”, która pracuje u karczmarza; w Szabas nalewa wódkę gościom, zapala świece szabasowe (nieznane już dziś znaczenie czasownika *objasniać* – iluminować, oświetlać, tutaj znaczy on tyle: zapalać, podtrzymywać płonący płomień świec szabasowych)³⁴. Chłopię umiera (zapewne) na zimnicę, czyli chorobę nieznaną w (obecnej) Polsce od 1968 roku. W XIX wieku ta choroba wywoływała całe epidemie. Prawdopodobnie podróż Glogera i przyjaciół przypada na początek jednej z takich epidemii, której szczyt przypadł w 1873 roku³⁵. „Bohaterowie” tego epizodu, czego jeszcze wtedy nie wiedzą, znajdują się w miejscu z punktu widzenia tej choroby najgorszym, bo przy rozlewiskach, torfowiskach, bagnach delty Czarnej Hańczy wpadającej do Niemna. Dopiero za kilkadziesiąt lat (w 1902 roku) odkryta zostanie rola komarów w przenoszeniu tej choroby. Wywołuje ją pasożyt niszczący organizm³⁶. Od 1820 roku znany jest lek na malarię – chinina. To chininy dla chorej Nel szuka Staś w znakomitej powieści Sienkiewicza *W pustyni i puszczy* (1910–1911)³⁷. Ale to nie Afryka, i nie powieść przygodowa.

Chłopiec jest/pozostaje bezimienny. Gloger nie pyta o jego imię. Przerażony próbuje wrócić do izby głównej, ale tu widzi matkę chłopca w pracy i gospodarzy świętujących Szabas. Sytuacja jest beznadziejna. Zarazem prawdziwie pokazuje polsko-żydowski czy żydowski-polski splot w XIX wieku. Nie sprowadzał się on do dyskursów, idei, aktów, lecz o wiele częściej realizował/spełniał/odślaniał w trudnej, a czasem strasznej praktyce życia. To życie – z jego koniecznościami i ograniczeniami, zrządeniami i fatalizmami – rządzi tymi ludźmi. Złączyło ich, splotło na dobre i złe. Czy biedna wdowa bez pracy u żydowskiego karczmarza byłaby szczęśliwsza, gdyby jej chore dziecko przymierało głodem? Czy miałyby na znachorki i szeptuchy, które zastępują tu lekarzy? A Żyd arendarz mógłby świętować bez wdowy, która uwija się, obsługuje pijących gości karczmy? Najbardziej dwuznaczne są w owym epizodzie figury klientów, „przybyszów chrześcijan o niesympatycznym i podejrzanym wejrzeniu”. Węzeł, splot.

³⁴ Czasownik *objasniać* zupełnie zatracił swoje XIX-wieczne znaczenie. W tej opowieści jest ważny – to matka chorego dziecka zapala szabasowe świece.

³⁵ Doniesienia o malarii w XIX wieku na ziemiach polskich przypadły na lata: 1846–73. Zob. T. H. Dźbeński, *Sytuacja epidemiologiczna malarii w Polsce – dawniej, obecnie i w przyszłości*, „Wiadomości Parazytologiczne” 2008, nr 54 (3), s. 207: „Pierwsze wzmianki o występowaniu malarii (polska nazwa zimnica) na terenie naszego kraju oraz ziołach zalecanych w leczeniu napadów »febry« można znaleźć w pamiętnikach, listach i zielnikach (herbaria) pochodzących z XIV wieku. Krótkie wzmianki o zimnicy zaczynają się pojawiać w czasopiśmie lekarskich od roku 1846, informując o nasilaniu się zachorowań w odstępach paroletnich, tj. w latach 1846, 1852, 1873, 1898, 1920–23, a w końcu w okresie 1946–49...”.

³⁶ Już sama nazwa pasożytów budzi odrazę. Malarię wywołuje: zarodziec pasmowy (*Plasmodium malariae*). Są też inne gatunki tego pierwotniaka wywołujące chorobę: sierpowaty, ruchliwy, owalny, a też małpi.

³⁷ Zob. H. Sienkiewicz, *W pustyni i w puszczy*, Warszawa 1911. W odcinkach powieści publikował „Kurier Warszawski” w latach 1910–1911.

Czy dziecku można jeszcze pomóc? „O pięknych rysach chłopiec, trawiony gorączką po paroksyzmie zimnicy” skazany jest na śmierć. Ludowa medycyna uczyniła wszystko. W tym miejscu nieważne jest, czyje to dziecko – żydowskie czy chrześcijańskie (akcent: chrześcijańskie w żydowskiej karczmie). Tu wspólne jest nieszczęście. Wspólna tragedia tych, którzy są wszyscy, jak u Orzeszkowej i jej interpretatorki – *Z jednego losu* – „*Z jednego strumienia*”³⁸.

Podróżnik poda chłopcu wodę. Nie zrobi więcej. Nie śpi spokojnie: „Gdybym był lekarzem, może rada moja ocaliłaby życie biednemu chłopcu, a pomógł jaki domowy środek, bo apteki nie masz w tej okolicy ani lekarza”. To głucha, zapadła prowincja nad rozlewiskami wód. Chłopiec miał już atak choroby: towarzyszą mu uczucie zimna i dreszcze, wysoka gorączka (do 41°C), po czym nastąpi nagle spadek temperatury. Być może rano chłopiec obudzi się „jak zdrowy”, ale najdalej za trzy dni ataki powtórzą się. Rokowania nie mogą być dobre.

Kiedy przed wielu laty przeczytałem ten fragment relacji Glogera, oburzyła mnie „obojętność” świadka (było to w roku 2013). Tak oburzyła, że zapamiętałem passus na zawsze. Chore, umierające od pasożyta dziecko i grupa bogatych podróżników. Nie mam do dziś odpowiedzi na pytanie, czy i co mogli wtedy zrobić? Chłopiec był pod opieką matki, pracującej w żydowskiej karczmie, ludowa medycyna zrobiła, co w jej mocy: „Chłopiec złożony był niemocą od miesiąca, mając w ubóstwie za całe pożywienie czarny, niewypieczony chleb i ziemniak, a baby sieniewickie wyczerpały już wszystkie swoje leki i zabobony bezstecznie. Żałując, że nie było tutaj domowej apteczki mojej matki, z boleścią serca przypatrywałem się temu obrazowi nędzy ludzkiej. Lecz znużenie wkrótce przemogło i zdawało mi się, że zasnąłem – (...)”.

Gloger, tego jestem pewien, przeżył wstrząs, który pogłębił w nim świadomość, że prowincja, wieś, chłopstwo, w ogóle społeczeństwo wymaga gruntownych reform. Od tej pory w jego tekstach przez trzydzieści lat powracać będzie postulat zapewnienia na wsi opieki medycznej, edukacji, ale ugruntowanych na głębokiej moralności, na sumieniu człowieka. Strażnikiem tego sumienia czynił religię – Kościół, wiarę mojżeszową, Cerkwie. Rzadko pisał o religii, jakby unikając tego tematu, ale jeśli już pisał, podkreślał jej rolę w rozładowywaniu napięć między na przykład Polakami i Żydami oraz rolę strażnika wrażliwości. Nie wierzył, że sama cywilizacja może pomóc zmienić świat, jeśli nie oprze się na wewnętrznym gruncie człowieka, moralności, sumieniu. Polemizował w tej sprawie nawet z młodą wówczas i hurraoptymistyczną Orzeszkową³⁹.

³⁸ W tej głębokiej wspólnocie losu Polaków i Żydów na kanwie tekstów Orzeszkowej pisze badaczka: „Zasadniczym punktem odniesienia staje się wymiar ludzkiego istnienia ze wszystkimi jego odcieniami, całą złożoną różnorodnością, w której mieści się i oczywistość, i tajemnica”. – A. Janicka, *Z jednego losu* – „*Z jednego strumienia*”, [w:] *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i w cieniu historii*, s. 114.

³⁹ Zob. Z. Gloger, *Znad Narwi, w lutym*, „Ognisko Domowe” 1876, nr 8, s. 99. Jest to polemika z: E. Orzeszkowa, *O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia*, Lwów 1876.

Noc w karczmie, w izbie z umierającym chłopcem, który jęczy, z głośnym ptactwem domowym, okazała się czymś zapewne „gorszym” niż noc na łodzi, gdzie było „tylko” zimno. Od tej pory, gdy Gloger będzie chciał wyrazić jakieś treści będące krytyką rzeczywistości lub utopijnym o niej marzeniem, sięgać będzie po poetykę snu. Tak jest i tym razem. Śni sen młodego zwolennika postępu, pozytywisty:

Lecz znużenie wkrótce przemogło i zdawało mi się, że zasnąłem – nie był to jednak sen, ale jakieś marzenie, bo słyszałem stłumione jęki chorego, skrzypienie drzwi przy powiewie wiatru, krzyk gęsi po moim każdym poruszeniu i dolatujący gwar pijaków. Dziwne senne i fantastyczne widziadła snuły się w moich oczach. Tu płynęły strugi szampana i powietrze napełniało się wiwatami, tam gięły się stoły pod złotą zastawą i półmiskami, na których dymiły bażanty i rzadkie zamorskie przyprawy, a ówdzie dolatywały jęki z ust spalonych gorączką głodu i nędzy. To znowu w uszach moich grzmiała huczna gęźba weselnej kapeli, piętrzyły się wieżycy cukrowe, tysiące gwiazd brylantowych świeciło na godowych szatach niewiast, a obok mnie na śmiertelnym łożu ze słomy stała trumna z kilku nieociosanych desek zbita. Obrazy przesuwały się bez przerwy. Patrzyłem się niby na ciężkie skrzynie, w których drzemały martwe skarby, a przy zielonych stolikach i stosach złota siedzieli poważni, zamyśleni mężowie z losami w ręku; jedni kreślili białe liczby i zgarniali złoto do siebie, a drudzy rzucali na losy ziemię przesiąkniętą potem pracy ojców i matek swoich, którą dzielili się obcy ludzie, wrogowie odwieczni Słowian. Na tej ich ziemi pod słomianą strzechą wyrosła garstka zdrowej dziatwy, ciekawa abecadła i książki, ale skarby takie są tylko w dalekich miastach, a nikt ich stamtąd nie przywiózł i dziatwie nie podarował. Na widziadłach podobnych ubiegła krótka noc czerwcową.

Najwyraźniej jednak nie czuł się z tą sytuacją dobrze. Nie wiedział, jak opisać ją słowem, jak się wytłumaczyć. Sen miał odsłonić jego szlachetną duszę, ale i przesłonić wyrzut sumienia. „Widziadła” i sama rzeczywistość rozbiły bajronizującą narrację ironisty. W końcu, zapewne jakoś zły na siebie, zamknął cały epizod w owym 1873 roku ironicznym gestem, fuknięciem pod adresem żydowskich gospodarzy:

Z brzaskiem dnia zerwałem się na nogi i wypiąwszy na śniadanie szklanicę zimnej wody, żegnany tylko krzykiem gęsi, opuściłem gospodę państwa arenda-rzów pogrążonych w śnie głębokim, który zapewne kołysząc ich dusze nadzieją przystani dla parowców i nadspodziewanymi stąd zyskami, miał być główną rozkoszą i zwykłą rozrywką dnia świątecznego.

W końcu to oni, domyślamy się, zostali obarczeni winą za wewnętrzny wstrząs, dyskomfort, jaki światły podróżnik przeżył w żydowskiej chacie, gdzie przyjęto go gościnnie, tym, czym ta chata była bogata w tym miejscu i w tej epoce. Wszystko inne jest już dywagacją: przecież mógł przerwać podróż, ratować chłopca (?). Ale czy mógł go uratować? Zaczynała się epidemia malarii, jej

szczyt przypadał w roku 1773, gdy ukazał się *Dziennik podróży po Niemnie* – czy mógł zrobić więcej, niż dać ten obywatelski głos zatroskanego ziemianina ujęty w onirycznych ramach? Wiemy, że robił w praktyce wiele, wszystko, co mógł, u siebie w Jeżewie, że piórem narażał się egoizmowi swojej klasy. Ale tu?

A biedna wdowa z chorem na malarię synkiem? Dlaczego znalazła się w żydowskiej chacie? Dlaczego obok szabasu trwał w niej wyszynk? To są pytania współczesne, z XXI wieku. Wtedy nikt takich pytań nie stawiał, bo było to po prostu, ich, tych ludzi z Sienewic, realne, piękne i straszne, jedyne im znane *ż y c i e*. Innego nie znali⁴⁰.

W 1888 roku relacja jest niby ta sama, ale nie taka sama. Widać, że gryzło pamięć pisarza to doświadczenie, bo rozbudował nie opis izby i chłopca, któremu tu kilkakrotnie podaje wodę z wiadra z wodą przeznaczoną dla gęsi (sam się jej napije, wychodząc), ale partię publicystycznego komentarza: „Czemużto nie ma u nas każda okolica podróżnego lekarza miejskiego, któryby jeżdżąc swym wózkiem z kieszonkową apteczką od wsi do wsi, spełniał wysokie posłannictwo zawodu i uczciwie na chleb powszedni w ten sposób zarabiał”. Pytanie retoryczne, nie doczekało się ono odpowiedzi i nie zdezaktualizowało do dziś. Dodaje jeszcze tyradę przeciwko „babom sienewickim”, zabobonom, ciemnocie. Pozytywista! Dziecię postępu⁴¹. Niewiele kosztująca tyrada społecznika blaknie jednak wobec faktu, że obok leży umierające dziecko chłopskie. Gdzie jest „wspólnota chłopska”? W śnie nachodzą tym razem Glogera widziadła niepokojące – dla niego i dla nas: kontrast „jęków z ust spalonych gorączką głodu i nędzy” oraz bogactw ziemiaństwa, trwonionych w rozpuście, hucznego wesela paniczów, któremu przygrywa „dźwięczna muzyka ojców zblaźniona paryskim akcentem”, szulerów i bogaczy:

Gdy znużenie przemogło, zdawało mi się, że zasnąłem. Nie był to jednak sen, ale jakieś marzenie. Słyszałam stłumione jęki chorego, skrzywienie drzwi przy powiewie wiatru, krzyk gęsi po każdym moim poruszeniu i jakieś opowiadania i szepty pijaków. Dziwne, senne, fantastyczne widziadła stawały mi przed oczyma. Tu dolatywały jęki z ust spalonych gorączką głodu i nędzy, a tam powietrze napępniały wiwaty orderowych dostojników, szampan płynął strumieniem, stoły gięły się pod złocistą zastawą i zamorskimi przysmakami. Skądinąd dolatywała huczna gędzba weselnej kapeli, piętrzyły się misterne cukrowe wieżyce, tysiące gwiazd brylantowych jaśniało na godowych szatach niewiast, dźwięczna mowa ojców, zblaźniona paryskim akcentem, raziła ucho, a obok mnie na barłogu sta-

⁴⁰ O kategorii *życia na prowincji* zob. w XIX-wiecznym znaczeniu: A. Janicka, *Dwie prowincje: młodzi pozytywiści – Zygmunt Gloger*, [w:] tejsze, *Tradycja i zmiana. Literackie modele dziełnastowieczności: pozytywizm i „obrzeża”*, Białystok 2015, s. 296–310.

⁴¹ Tyrady przeciwko znachorom i znachorkom były częścią stałą jego batalii publicystycznej. Gloger postulował też roztoczenie szerszej opieki zdrowotnej nad ludem. Widział tu wielką rolę dworów ziemiańskich.

ła trumna z kilku nieociosanych desek. Widziadła przesuwają się bez przerwy. Patrzyłem się na ciężkie skrzynie, w których drzemały martwe skarby; przy zielonych stolikach siedzieli zamyśleni mężowie z losami w rękę. Wypuszczając kosztowny dym z ust swoich, jedni kreślili liczby białą kredą i zgarniali stopy złota, inni rzucali na losy ziemię, przesiąkłą potem pracy rodziców swoich, a użyzioną krwią praocjów, którą dzielili się handlarze i ludzie obcej mowy, odwieczni wrogowie słowian. Na tej osieroconej przez pasierbów ziemi, pod słomianą strzechą, wyrastała garstka jasnowłosej dziatwy, ciekawa abecadła i książki, ale skarby takie są tylko w wielkemiejskich kramnicach, a nie było komu przywieźć i dziatwie podarować abecadnik.

Kontrast nieuniknionej śmierci dziecka i tych retorycznych tyrad w *quasi-sennej* poetyce jest dwuznaczny. Kim są „handlarze i ludzie obcej mowy, odwieczni wrogowie słowian” (tak, w oryginale małą literą „s”)? Handlarze? Żydzi? Mówiący w obcym języku? Niemcy? Znajomość pism Glogera pozwala mi napisać, że pisząc o „handlarzach”, ma on na myśli także (choć nie tylko) handlarzy żydowskich, a wspominając odwiecznych wrogów Słowian, myśli zapewne o Niemcach jako kulturträgerach, rasie panów, zabierających im ziemię (ale nie o wszystkich Niemcach!)⁴². Jest o napisane tak, że dopiero znajomość kontekstu pism publicysty albo realiów tamtej epoki wyjaśnia wątpliwości. Co do handlarzy żydowskich – tych się tylko domyślamy. Najmocniejszy atak pisarz kieruje we własną klasę społeczną i narodowość – rozrzutne, próżniacze ziemiaństwo polskie.

Nie zmienia to faktu, że retoryka publicystycznej furii, złagodzona przez oniryczną konwencję, pełna jest niedomówień. Czujemy, że nie rozwiązuje problemu moralnego świadka choroby chłopca. Choroby na śmierć. Pomieszenie bezradności, złości, współczucia i bezczynności tworzy sytuację nie do opanowania i nie do wyparcia z pamięci. Epizod w izbie urywa się nagle. O chłopcu już ani słowa: „Z brzaskiem dnia zerwałem się ze słomy i przetarłem oczy”. Jeszcze raz zabrzmiało ironiczne zdanie o śpiących żydowskich gospodarzach marzących o przystani parowców i: „Przy rannej zorzy mogłem się lepiej niż wieczorem przypatrzeć okolicy nadniemeńskiej”. Krajobraz zastępuje dramat. Przerażone oczy, zmysły oddychają naturą. Ale problem pozostał.

Mija znów lat 15. Epizod trafia na karty *Dolinami rzek*. Wzbogaca się faunistycznie: w izbie, gdzie nocuje podróżnik, grasują nocą szczury lub kuny (pewno jedno i drugie, jak to na wsi). Historia chłopca skraca się, widziadła same bledną, stają coraz bardziej optymistyczne – taki jest też duch całej książki:

Z drugiego kąta izby dochodziły jakieś stłumione jęki i ciężki oddech ludzki. Poszedłem do izby karczemnej zapytać, co to znaczy? Objaśniono mnie, że jest

⁴² Gloger dokonywał subtelnych jednak rozróżnień. Pochodzenie nie miało dlań znaczenia, o ile obywatel przyznawał się do wspólnej, *polskiej* w znaczeniu jagiellońskim pamięci historycznej.

to chory chłopiec, syn wyrobniczy usługującej w gospodzie, że pewnie żyć nie będzie, bo już wszystkie baby sieniewickie wyczerpały swoje lekarstwa i uroki nad nim odczytnyły, a on trzeci tydzień wije się na pościółce. Powróciłem i strudzony rzuciłem się na posłaną dla mnie słomę w środku izby na glinianem klepisku, między gęsiami i chorym chłopcem.

Zasnąłem, ale pomimo to słyszałem jeszcze stękanie chorego, alarm gęsi po każdym poruszeniu się moim lub bieganiu szczurów czy kun, które także gospodarowały w tej izbie. A w sennej wyobraźni przesuwały mi się różne mary i widoki. O wstrętnych zamilczę – miłe widziadło wspomnę. W miejscu starego karczmyska stał niby staroświecki dworek wiejski, a szlachetna dusza kapłanki tego ogniska otaczała chorego sierotę anielską opieką rozumnej myśli, serca i chrześcijańskiej ręki. Było to niby wspomnienie z dzieciennych lat moich, znad Narwi.

Gdy zerwałem się ze słomy, słońce już zeszło, chory spał spokojnie, a gęsi przestraszone raz jeszcze podniosły przeraźliwy okrzyk trwogi, na co wszedł nasz arendarz, który miał zapewne sen szabasowy rozkoszny, że za tyle okazanej inżynierom uprzejmości pozyska stacyę dla parowców pod swą karczmą.

Naganę, krytykę zastępuje utopia – dobry przykład-sen, w którym zamiast karczmy żydowskiej stoi „niby staroświecki dworek wiejski”, a pani domu (zapewne jak jego matka, Michalina z Woynów Glogerowa) leczy wiejskie dziecko. Podróżnik opuszcza izbę, gdy chory śpi spokojnie. On sam nie wyjdzie stąd jednak, jak wiemy, spokojny. Lecz w roku 1903 Gloger cały program cywilizacyjny, publicystycznej walki o reformy na wsi, prowincji – ma już za sobą. Zbliży się chwila klęski, rozstroju – rewolucja 1905 roku, która odsoniła daremność jego reformatorskich zamysłów, na prowincję przyniosła mordy, niepokoje, klasowe utarczki. W *Dolinami rzek* wszystko zmienia się w (co Gloger już wie!) niemożliwą sielankę⁴³: Żyd karczmarz śni sen „szabasowy rozkoszny” o zysku i – co było ważne dla Glogera i stanowiło też ważny temat jego artykułów – usprawieniu żeglowności Niemna. Zaś sam wędrowiec zamiast koszmarów śni o kulturowo-cywilizacyjnym niebie, jakim byłaby karczma zastąpiona przez dwór z oświeconą dziedziczką, opiekunką chorych. To sen o jego własnym domu rodzinnym, matce, o tym, co zdarza się w Jeżewie, ale nie zdarza się (prawie) nigdzie indziej. Wstrząsowe przeżycie jest już przetrawione – bezradny świadek spłacił dług poczucia winy kilkudziesięcioletnią batalią publicystyczną w sprawie reform, zmian w edukacji i lecznictwie, ucywilizowania relacji na wsi, także tych żydowsko-polskich. Teraz śni tylko budujące rzeczy, by za chwilę „lepiej przypatrzeć się okolicy”.

⁴³ Poetykę snu wykorzystał Gloger, zapisując swe marzenia-utopie (prozą i wierszem) o dawnej-nowej Rzeczypospolitej. Zob. [Z. Gloger], *List znad Narwi przez Z. G.*, [w:] *Sobótka. Księga zbiorowa na uczczenie pięćdziesięcioletniego jubileuszu Seweryna Goszczyńskiego*, Lwów 1875, s. 549–554; tegoż, *Sen wieśniaka*, „Gazeta Rolnicza” 1881, nr 52, s. 613–616; *Sen*, „Dziennik Wileński” 1906, nr 4, s. 1–2; *Sen ziemianina*, Łomża 1910.

W *Dolinami rzek* po rozdziale zatytułowanym *Niemen*. (Z przedmową *Elizy Orzeszkowej*) następuje – zgodnie z zasadą konstrukcyjną tej książki – rozdział *W 27 lat później*. (*Dzienniczek podróży po Niemnie od Kowana do Jurborga*)⁴⁴. Parowcem – dodajmy i w strugach deszczu zaczyna się ta podróż. Epizod w karczmie nie mógł w tej opowieści powrócić – podróż w dół Niemna zaczynała się tam, gdzie kończyła poprzednia, pamiętna wyprawa z 1872 roku: „Ujście Wili było kresem mojej wycieczki po Niemnie w r. 1872. Przybyłem wówczas do Kowna małą łódką, a z Kowna powróciłem drogą żelazną, zmuszony do odłożenia na przyszłość dalszej podróży wodnej. Dziś, po dwudziestu siedmiu latach (w końcu czerwca 1899 r.) przybyłem do Kowna koleją, aby od ujścia Wili pożeglować wodą w dół Niemna, mil kilkanaście, ku granicy pruskiej⁴⁵. Tym sposobem odmieniony podróżnik, starszy, nie musiał już wracać do...

*

Mógłbym teraz rozwinąć kilkunastostronicowe rozważania, dywagacje o tym drobnym karczmianym epizodzie, w którym splatają się – możliwe tu do ujżenia w powiększeniu – losy Polaków i Żydów. Z łatwością można by do opisu przyłożyć współczesne dyskursy ideologiczno-metodologiczne: od postkolonialnego aż po ten demaskujący klasowo-kapitałowe uwikłania. Wydaje mi się też, że aż zbyt łatwo byłoby rozwinąć dyskurs moralistyczny i obciążyć wszystkich uczestników tej sytuacji winą za niechybną śmierć chłopca. Ale sadzę, że lepiej jest czasem – zamiast dywagować – zamyślić się głęboko nad polsko-żydowskim splotem.

Czasem trzeba spojrzeć życiu w oczy.

Elk, 15 marca 2021 r.

⁴⁴ Z. Głoger, *Dolinami rzek*, s. 79–94.

⁴⁵ Tamże, s. 79.

A N E K S

By umożliwić państwu porównanie trzech narracji o incydencie z chorym chłopcem w karczmie żydowskiej przekazuję ten sam fragment w wersjach opublikowanych w 1873, 1888 i 1903 roku.

1873: Zygmunt Gloger, *Dziennik podróży po Niemnie*⁴⁶

Teraz nastąpiło istotne rozstanie się Argonautów z Grodnem, do którego nakręciłem pożegnanie Childe-Harolda:

Bywaj mi zdrowy grodzie sędziwy!
Juz w mglistej niktiesz powłoce,
Już Niemen szepce głębin swych dziwy,
Litewski słowik świergoce.

Tu rzeczywistość, niebaczna na estetyczne poczucie piękna w poezji, sama domówiła pożegnanie z tobą:

Faktorze chciwy i bruku krzywy,
I wieczny żydów szwargocie!

III

7 czerwca (ciąg dalszy)

Rzęsista iluminacja w oknach sieniewickiej gospody oznajmiała, że gazdowie jej gwoli piątkowemu wieczorowi rozpoczęli starożytne Hebreów święto Sabatu. Odgłos modlitwy licznie zgromadzonych współwierców nie wzbudzał nadziei znalezienia tu spokojnego noclegu i posiłku. Przed karczmą stała gromadka gwarzących kmieci, których pozdrowiłem po chrześcijańsku, co było wstępem do zapytań, a o podróznym dało dobre wyobrażenie. Zaledwie zamieniłem z wieśniakami słów kilka, gdy wybiegła z gospody wystrojona świątecznie w czepku z żółtymi i zielonymi wstążkami ciekawa żona arendarza, a za nią przez wysoki próg przestąpił sam gospodarz w satynowym czarnym żupanie, pończochach i pantoflach, z jedną ręką spoczywającą na żołądku za pasem, który stanowiła kolorowa chustka, jakiej zażywający tabakę używać zwykli. Z ciekawością zmierzył nas od stop do głów, bo prosty nasz ubiór niewiele wzbudzał respektu, lecz w opinii arendarza zostaliśmy uratowani przez mosiężne gwoździe i ramki

⁴⁶ „Kronika Rodzinna” 1873, nr 10–13, 16, 18–20, 24; 1874, nr 3, 8, 14, 16. W: tegoż, *Pisma rozproszone*, t. I: 1863–1876, red. J. Ławski, J. Leończuk, Białystok 2014, s. 269–319.

naszych tłumoczków. Na zapytanie o nocleg, udając bardzo domyślnego, odpowiedział nam, iż wie dobrze, że jesteśmy inżynierami, którzy mają oczyszczać Niemen dla żeglugi parowej i że dla takich ludzi gościnności nie odmówi!

Ponieważ nie było tu owego grodzieńskiego faktora, który tak doskonale przyczynę naszej podróży flisowi objaśnił, a archeologia lub etnografia u Żydów sieniwickich wielkiego waloru mieć nie mogła, więc z konieczności nie wyparłem się narzuconej mi roli, oznajmiając tylko, że badamy Niemen na prywatne zadanie pewnego kapitalisty. Stosunek z kapitalistą podniósł mnie tym wyżej w oczach arendarza, który zaprosił nas uprzejmie do karczmy, gdzie różnica atmosfery, jaką oddychali pogrążeni w modłach Izraelici, była uderzająca. Gorąco było nieznośne, a niezliczone roje much dzieliły zgiełk i wieczerzę szabasową. Wprowadzono nas do alkierza, który był sypialnią państwa arendarzów i posiadał wszystkie przymioty i wady izby pierwszej, jakich nie mogłem usunąć nawet w części przez otwarcie okien, bo te nie były do otwierania. Tutaj to w dowód poważania ofiarowano nam nocleg, oddając do usługi dwa łoża dźwigające piramidalne stopy różnobarwnej puchowej pościeli. Z wdzięcznością odmówiwszy wszystkiego i poprosiwszy o wiązkę siana lub słomy do jakiej niezamieszkałej komory, trzeba było pomyśleć o wieczerzy. Ziemniaków i jaj nie dostaliśmy, a że na pieczeniu pierwszych, gotowaniu drugich ograniczały się nasze kucharskie wiadomości, więc pozostawała jeszcze herbata lub bulion, który miałem ze sobą. Gdym wyjmując z kieszeni jakieś drobiazgi, położył kompas podróżny na stole, arendarz z uszanowaniem przyglądał się temu jakoby inżynierskiemu narzędziu i rozpoczął stosowną gawędkę o kosztach oczyszczenia Niemna, kolegach naszych, którzy w roku zeszłym także płynęli tędy, i korzyściach żeglugi parowej, o której zaprowadzenie, jak mówił, stara się także można tej okolicy, obywatel pan Wołowicz. Dalej nastąpiły objaśnienia arendarza o potrzebie urządzeniu tu przystani dla parowców. Gustaw tylko uśmiechał się na to wszystko i widocznie podziwiał moje zdolności biegłego hydrodynamika z przypadku.

Kto doświadczył w życiu powrotu do zdrowia z ciężkiej niemocy lub do wzroku ze ślepoty, ten niech sobie wyobrazi rodzaj naszego rozkosznego uczucia, jakiego doznaliśmy przy wyjściu z izby karczmejnej pod gwiaździste niebo letniej nocy nadniemeńskiej. Wieczorny chłód ożywił nas miłym tchnieniem, a pierś odetchnęła głęboko. Zimna, obfita rosa przy świetle księżyca osrebrzyła trawy, zboża i gęste zarośla, pokrywające wybrzeża łachy niemnowej, w których zawodziły śpiewem niezliczone słowiki. Wśród błota odzywały się żaby, a w powietrzu i na wodzie słyhać było krzyki wodnego ptactwa. To wszystko zlewało się w harmonię poezji, która duszę pojąc natchnieniem, potęguje w sercu miłość tej domowej przyrody. Pomimo znużenia, chciało się przechadzać i dumać bez końca. Więc poszliśmy nieznaną ścieżką między bujnym żytem i gęstwiną pełną słowiczego gwaru, a niespodzianie ścieżka owa zaprowadziła nas nad brzeg jakiejś nieznaney rzeki. Była to Czarna Hańcza, o której nie sądziłem, aby tak blisko

wpadała do Niemna, który rozlewa się tutaj szeroko. Ciemny błękit pogodnego nieba odbijał się z gwiazdami w zwierciadle wody u stóp naszych, a z promieni miesiąca lśnił srebrny most na falach, co wszystko przypominało cudny obraz tajemniczej Świtezi. Tu i ówdzie rzuciła się ryba nad fale, a może duch rusalki lub ondyny litewskiej.

Hańcza wypływa stąd o mil kilkanaście z jeziora tegoż nazwiska położonego przy granicy pruskiej, pełnego sielaw i innej smacznej ryby. Płynie dalej koło gubernialnych Suwałk, następnie przez wielkie jezioro Wigierskie i przerzyna dawną puszcę grodzieńską, czyli perstońską. Podanie o początku nazwy tej rzeki jest równie naciągane jak wszystkie, w których wyrzeczone przez kogoś słowo miało być uznane za nazwę. Tutaj występuje Trojden, wielki książę Litwy, który, gdy przed swym zgonem (1282 rok) cofnął się za Hańczę party przez Mazurów, miał wyrzec po litewsku: *gana cze* – dosyć tutaj – uznając za granicę z Mazowszem rzekę, która została stąd nazwana Hańczą. W zeszłym stuleciu Antoni Tyzenhauz przedsięwziął na Hańczy budować tartaki i tamy, którymi miano podnieść wodę dla większego uszląwnienia rzeki; ale z tych usiłowań wielkiego męża, podobnie jak z innych, nie zostało nawet śladów.

Przy tak pięknej nocy zamierzaliśmy w samotnym zaciszu nad Hańczą przenocować, lecz przeszkodziła temu obfitość rosy na bujnej trawie, w której przemokłaby cała nasza odzież. Radzi nie radzi, powróciliśmy więc do czajki, w której nocował Wiktor, pilnując jej zarazem, bo, jak mówił, kradzież wszelkiej rzeczy niezamkniętej i niepilnowanej na brzegu rzeki uważana jest nie za grzech przez oryli, ale za znalezienie, a my przecież nie zgubiwszy czajki, nie życzyliśmy sobie, aby ją kto znalazł. Oddalając od siebie myśl powrotu do atmosfery karczemnej, układaliśmy się na spoczynek w łódce, ale chłód nocny nad wodą tak stał się dokuczliwym, że letnia odzież nasza nie mogła od niego zabezpieczyć, a do tego nad naszymi głowami rozlegał się śpiew takiego mnóstwa słowików, że o pożądanym śnie ani myśleć nie można było. Pocieszał tylko Wiktor, który także drżąc od zimna zasnąć nie mógł, że gdy jęczmień zacznie się kłosać, czyli, jak mówił, kłosy „wywijać”, co miało nastąpić za parę tygodni, wtedy słowiki zamilkną. Pierwszy raz w życiu uciekając od śpiewu słowików i zimna w czerwcu, zostawiwszy moich towarzyszków nieśpiących na czajce, poszedłem szukać owej komory z sianem u arendarza, a otworzywszy wskazane drzwi, znalazłem się w ciemnej izbie, gdzie przeraźliwym krzykiem powitały mnie dwie czujne gęsi tuczone. Były to widać nieodrodne prawnuczki swych kapitolinśkich prababek, a prędeż litewskich, które miały być godłem Warpasa, bożka pobudki. Z rogu komory dochodziły mnie jakies przytłumione jęki. Zapaliwszy świecę, zobaczyłem, że znajduję się w dość obszernej pustej izbie, na środku której leży dla mnie posłanie ze słomy przykryte białym płótnem. W jednym kącie stał kojec z gęsiami, w drugim z kurami, w trzecim stały poważne żarna, a w czwartym równie na słomie leżał dziesięcioletni, wychudły i blady, ale o pięknych rysach chłopiec,

trawiony gorączką po paroksyzmie zimnicy. Dowiedziałem się od niego, że jest synem biednej wdowy, która służy u arendarza jako szynkarka i zajęta jest swoim obowiązkiem w szynkowni, gdzie zgiełk dotąd nie ustawał. Zajrawszy tam przez uchylone drzwi od sieni, zobaczyłem oprócz dawniejszych gości szabasujących kilku nowych przybyszów chrześcijan o niesympatycznym i podejrzanym wejrzeniu, którym matka chłopca nalewała gorzałkę w szklanice i od czasu do czasu objaśniała szabasówki palące się w mosiężnym pająku, której to czynności nie wolno świętującym dopełniać. Chory chłopiec zostając bez opieki tłumił swe jęki nieco zmieszany moim przybyciem, a gdy go zapytał, czy nie potrzebuje czego, wyjąknął z cicha, że pali go pragnienie, a gdy szukał wody, wskazał przyniesioną w wiaderku dla gęsi, której podałem mu kubek.

Gdybym był lekarzem, może rada moja ocaliłaby życie biednemu chłopcu, a pomógł jaki domowy środek, bo apteki nie masz w tej okolicy ani lekarza. Stare przysłowie, zapisane już u Rysińskiego, mówi, że w Polsce *co choroba, to doktor*. I cóż dziwnego, że tak było w kraju, gdzie uczeni lekarze mało mogli być przystępni dla ludu, bo najczęściej [byli to] cudzoziemcy i po większych miastach zamieszkali? Każda więc niewiasta lub dziad leczyli po swojemu, a nie mając wykształcenia, chwyтали się zabobonów, bo środek tajemniczy, nadprzyrodzony przemawia bardziej do ciemnoty; za radę nie brano pieniędzy, bo czyż chęć życzliwego serca można obliczać na grosze? Chłopiec złożony był niemocą od miesiąca, mając w ubóstwie za całe pożywienie czarny, niewypieczony chleb i ziemniaki, a baby sieniewickie wyczerpały już wszystkie swoje leki i zabobony bezskutecznie. Żałując, że nie było tutaj domowej apteczki mojej matki, z boleścią serca przypatrywałem się temu obrazowi nędzy ludzkiej. Lecz znużenie wkrótce przemogło i zdawało mi się, że zasnąłem – nie był to jednak sen, ale jakieś marzenie, bo słyszałem stłumione jęki chorego, skrzypienie drzwi przy powiewie wiatru, krzyk gęsi po moim każdym poruszeniu i dolatujący gwar pijaków. Dziwne senne i fantastyczne widziadła snuły się w moich oczach. Tu płynęły strugi szampana i powietrze napełniało się wiwatami, tam gięły się stoły pod złotą zastawą i półmiskami, na których dymiły bażanty i rzadkie zamorskie przyprawy, a ówdzie dolatywały jęki z ust spalonych gorączką głodu i nędzy. To znowu w uszach moich grzmiała huczna gędźba weselnej kapeli, piętrzyły się wieżyce cukrowe, tysiące gwiazd brylantowych świeciło na godowych szatach niewiast, a obok mnie na śmiertelnym łożu ze słomy stała trumna z kilku nieociosanych desek zbita. Obrazy przesuwwały się bez przerwy. Patrzyłem się niby na ciężkie skrzynie, w których drzemały martwe skarby, a przy zielonych stolikach i stosach złota siedzieli poważni, zamyśleni mężowie z losami w rękę; jedni kreślili białe liczby i zgarniali złoto do siebie, a drudzy rzucali na losy ziemię przesiąkniętą potem pracy ojców i matek swoich, którą dzielili się obcy ludzie, wrogowie odwieczni Słowian. Na tej ich ziemi pod słomianą strzechą wyrosła garstka zdrowej dziatwy, ciekawa abecadła i książki, ale skarby takie są tylko

w dalekich miastach, a nikt ich stamtąd nie przywiózł i dziatwie nie podarował. Na widziadłach podobnych ubiegła krótka noc czerwcową. Z brzaskiem dnia zerwałem się na nogi i wypiwszy na śniadanie szklanicę zimnej wody, żegnany tylko krzykiem gęsi, opuściłem gospodę państwa arendarzów pogrążonych w śnie głębokim, który zapewne kołysząc ich dusze nadzieją przystani dla parowców i nadspodziewanymi stąd zyskami, miał być główną rozkoszą i zwykłą rozrywką dnia świątecznego.

Przy porannej zorzy mogłem się teraz lepiej przypatrzeć okolicy nadniemeńskiej.

1888: Zygmunt Gloger, *Podróż Niemnem*⁴⁷

O zmroku już puściliśmy się z Niemnowa na nocleg do niedalekiej a zachwalonej przez Wiktora gospody, leżącej naprzeciw *Przełomu*. W pośpiechu więc musiałem pominąć wieś *Sieniewicze* na piaszczystej górze, gdzie prawdopodobnie mógłbym znaleźć ślady siedlisk starożytnych. Poniżej Sieniewicz natkaliśmy jeszcze sporą wyspę i na lewym wybrzeżu torf położony na równi z niskim stanem wody. Znużeni podróżą długiego dnia, przebywszy ósmą część wodnej drogi do Kowna, wylądowaliśmy nareszcie przy jakiejś dużej karczmie, z nadzieją, że po dniach siedmiu pomyślnej wędrówki złożymy dziękczynną obiatę w świętym gaju nadobnej bogini miłości Aleksocie.

Rzęsista iluminacja w oknach gospody sieniewickiej oznajmiała, że gazdowie jej gwoli piątkowemu wieczorowi rozpoczęli starożytne hebreów* święto sabatu. Odgłos modlitwy licznie zgromadzonych spółwierców nie dawał nadziei znalezienia noclegu i posiłku pod tym dachem. Przed karczmą stała gromadka gwarzących kmieci, których pozdrowiłem po chrześcijańsku, co dało o podróżnych dobre wyobrażenie i było wstępem do zapytań. Zaledwie zamieniłem z wieśniakami słów kilka, gdy wybiegła z gospody wystrojona świątecznie w perukę i czepek z żółtych i zielonych wstążek, ciekawa pani arendarzowa. Za nią przez wysoki próg przestąpił poważnie sam gospodarz, w czarnym satynowym żupanie, pończochach i pantoflach, z jedną ręką spoczywającą na żołądku za pasem, który stanowiła kolorowa chustka, jakiej zażywający tabakę używać zwykli. Przenikliwie zmierzył nas od stóp do głów, bo prosty ubiór podróżnych nie wzbudzał respektu, ale za to podnosiły ich godność tłómczki o mosiężnych gwoździach i zamkach. Na zapytanie o nocleg, arendarz, udając człowieka domyślnego, oświadczył, iż wie dobrze, że jesteśmy inżynierami, którzy badają Niemen w celu oczyszczenia dla żeglugi parowej i że dla takich ludzi wszystko w jego domu na rozkazy!

⁴⁷ „Wisła” 1888, t. II, z. 1–2, s. 30–84, 247–305.

* W relacji z „Wisły” zachowujemy małe litery w tych miejscach, gdzie użyli ich autor i redakcja pisma [Red.].

Ponieważ zabrakło owego faktora, który tak wybornie cel naszej podróży Wiktorowi w Grodnie tłumaczył, a archeologia i etnografia u żydów sieniewickich nie wiele popłaca i tylko podejrzenie wzbudzić mogła, więc – nie wyparliśmy się korzystnego powołania, a tylko dla odjęcia mu cechy urzędowej dodaliśmy, że badamy Niemen na prywatne żądanie pewnego bankiera. Stosunek z bankierem podniósł nas tem wyżej w oczach arendarza, który, kłaniając się uprzejmie, wprowadził nas do szynkowni, gdzie różnica atmosfery, którą oddychało kilka rodzin izraelskich pogrążonych w modlitwie, była srodze uderzająca. Przy nieznośnem gorącu niezliczone roje much dzieliły zgiełk i wieczrę szabasową. Zaproszono nas do ciasnego za szynkownią alkierza, który był sypialnią państwa arendarzów i posiadał wszystkie przymioty izby pierwszej, jakich nie mogłem ani w części usunąć przez otworzenie okien, bo były zabite gwoździami. W dowód poważania ofiarowano nam tutaj do noclegu dwa łoża małżeńskie, zajmujące prawie całą przestrzeń szczupłej izdebki, a dźwigające piramidalne stopy różnobarwnej poscieli puchowej pod pewnym rodzajem baldachimów. Z prawdziwą wdzięcznością odmówiliśmy wszystkiego, co nam tak szczerze ofiarowano i poprosiliśmy tylko o skromną więź siana lub słomy do jakiejś niezamieszkaanej przez ludzi komory.

Ziemniaków już nie było, jaj także zabrakło, a była to noc i do wsi daleko; że zaś na pieczeniu pierwszych a gotowaniu drugich ograniczały się nasze wiadomości kuchmistrzowskie, więc pozostała na wieczrę herbata i pieczywo szabasowe. Gdy między drobiazgami położył na stole kompas kieszonkowy, arendarz, nie odważając się go dotknąć, zapewnił, iż wie, że to jest instrument inżynierski, taki sam, jaki mieli inni inżynierowie, którzy przed rokiem również badali koryto Niemna. Następnie opowiadał nam, że można tej okolicy obywatel p. Wołowicz popiera projekt żeglugi parowej, dla której, wedle arendarza, najdogodniejsza stacja byłaby przy jego karczmie. Tu się zaczęła obszerna rozmowa o możliwości i kosztach oczyszczenia Niemna z rap podwodnych, w czasie której Gustaw tylko się uśmiechał, a mąż starozakonny podziwiał wynalazki i moją biegłość w hydrodynamicie.

Kto doświadczył w życiu powrotu z ciężkiej niemocy do zdrowia, lub ze ślepoty do odzyskania wzroku, ten odczuje rozkosz naszego wrażenia, jakiego doznaliśmy przy wyjściu z karczemnego zaduchu pod gwiaździste niebo letniej nocy nadniemeńskiej. Wieczorny chłód orzeźwił nas, a pierś odetchnęła kilkakrotnie głęboko. Zimna obfita rosa przy świetle miesiąca osrebrzyła trawy, zboża i wybrzeża łachy niemnowej, pokryte gęstymi zaroślami, w których zawodziły śpiewem niezliczone słowiki. W błocie odzywały się żaby, a w powietrzu i na rzece słycać było krzyki ptactwa wodnego. Wszystko to zlewało się w dziwną harmonię poezji, która, podnosząc duszę ku Bogu, potęguje w sercu gorącą miłość do domowej ojczystej przyrody. Pomimo znużenia, chciało się przechadzać i dumać bez końca. Więc poszliśmy jakąś ścieżką między bujnym żytem i pełną

słowiczego gwaru gęstwina, a ścieżka owa zawiodła nas niespodzianie w piękne ustronie nad brzeg nieznanej nam rzeki. Dopiero teraz przypomniałem sobie, iż Sieniewiczze leżą w okolicy Czarnej Hańczy, która wpadała tutaj do szeroko rozlanego Niemna. Ciemny błękit pogodnego nieba odbijał się z milionem gwiazd w cichem zwierciadle wody u stóp naszych, a z odbitych promieni miesiąca lśnił się srebrny most na tajemniczej topieli. Niekiedy rzuciła się ryba nad fale, a może duch rusalki lub litewskiej ondyny. Cudny obraz Świtezi stanął w oczach, a do ust cisnęły się słowa:

Jeżeli nocną przybliżysz się dołą
 I zwrócisz ku wodom lice,
 Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
 I dwa obaczysz księżyce,
 Niepewny, czyli szklanna spod twej stopy
 Pod niebo idzie równina,
 Czyli też niebo swoje szklanne stropy
 Aż do nóg twoich ugina*.⁴⁸

Czarna Hańcza wypływa stąd o mil kilkanaście z jeziora tegoż nazwiska, leżącego przy granicy pruskiej, pełnego sielaw i innej smacznej ryby. Płyń dalej koło gubernialnych Suwałk, następnie przez wielkie jezioro Wigierskie i przeczyna dawną puszcę grodzieńską czyli perstońską, za którą cała kraina między Niemnem a Prusami położona, należąca dziś do guberni suwalskiej, nosi nazwę *Traktu Zapuszczańskiego*. Podanie o początku nazwy Hańczy utrzymuje, iż gdy Trojden, wielki książę Litwy w wieku XIII, party przez mazurów, ustąpił za tę rzekę, miał powiedzieć po litewsku „gana cze” to jest „dosyć tutaj” – uznając ją za granicę z Mazowszem, która została nazwana stąd Hańczą. Nie potrzebujemy dowodzić, iż wszystkie takie podania, wyprowadzające nazwy od słów przypadkowo wyrzeczonych lub oderwanego znaczenia (np. Iłża od *jej Iza*, to jest Iza jakiejś księżny, która płakała nad synem w zamku iłżeckim) są tylko pięknymi powieściami, w nowszych czasach ukleconemi, jak słusznie ktoś powiedział. Pewniejszą jest rzeczą, iż w zeszłym stuleciu podskarbi Tyzenhauz przedsięwziął na Hańczy budować tartaki i tamy, którymi chciał podnieść wodę dla większego uszląwienia rzeki i że z tych usiłowań wielkiego męża, podobnie jak z innych, nie zostało nawet śladów.

Wobec tak uroczej nocy, zamierzeliśmy wśród odludnego ustronia nad Hańczą przenocować w pobliskim życie, lecz przeszkodziła temu poetycznemu przedsięwzięciu nadzwyczajna obfitość rosy, od której przemokłaby cała nasza letnia odzież. Radzi nie radzi powróciliśmy do czajki, w której nocował Wiktor,

* A. Mickiewicz, *Świtez. Ballada* [1822]. Jest to wierny cytat z utworu Mickiewicza [Red.].

pilnując jej zarazem, bo twierdził, że oryle niemieńscy nie uważają za kradzież ani grzech wzięcie rzeczy nie uwiązanej i nie pilnowanej na brzegu, mieniając ją znalezioną. Za chwilę łódkę naszą przeistoczyliśmy na arcypoetyczną sypialnię na falach Niemna, pod księżycowem niebem Litwy; zasnąć w niej atoli nie było można w żaden sposób, tak chłód nocy na pół jeszcze wiosennej stał się nad wodą dokuczliwym. Wszyscy trzej w letniej odzieży dzwoniłiśmy zębami i zatykali uszy od rozlegającego się nad nami śpiewu sławnych słowików litewskich, których cała zgraja zaludniała nadbrzeżne zarośla. Pocieszał tylko Wiktor, że gdy jęczmień zacznie kłosać (czyli jak on mówił kłosy *wywijać*) co miało nastąpić za dwa tygodnie, to słowiki wtedy zamilkną. O śnie nie można było ani marzyć, a tu rano za parę godzin i pora dalszej wędrówki. Pierwszy raz w życiu, uciekając przed śpiewem słowików i błękitem letniej nocy, poszedłem szukać noclegu w komorze arendarza.

Zajrzawszy do szynkowni, zastałem w niej nowych jakichś gości o podejrzanej i niesympatycznym wejrzeniu, którzy, zmierzyszy mnie ponurem okiem, dalej częstowali się gorzałką. Słabe oświetlenie izby czyniło ją podobną do jakiegoś tajemniczego podziemia. Otworzywszy wskazane mi drzwi po drugiej stronie sieni, znalazłem się w ciemnej izbie, gdzie przeraźliwym krzykiem salwowały mnie dwie gęsi. Były to widocznie nieodrodne prawnuczki swoich kapitolnińskich prababek, dzisiaj przeznaczone do tuczenia przez żonę arendarza. Z innego rogu komory dochodziły jakieś przytłumione jęki ludzkie. Zapaliwszy latarkę, ujrzałem się w dość obszernej pustej izbie bez podłogi, na środku której leżała dla mnie słoma, przykryta białym prześcieradłem przez panią arendarżową. W jednym kącie stał kojec z gęsiami, w drugim spały kury na grzędzie, trzeci zajęły poważne żarna, a w czwartym na barłogu wił się w gorączce dziesięcioletni, nędzny, ale o pięknych rysach chłopiec. Z trudnością dowiedziałem się od niego, że od kilku tygodni ma zimnicę, jest synem służącej u arendarza biednej wdowy, która w czasie szabasu musi gorzałkę szynkować i objaśniać świeczki w mosiężnym pająku, bo tego nie wolno świętującym dopełniać. Chłopiec, zostawiony sam sobie, zmieszany nieco mojem przybyciem, tłumił jęki, ale ośmielony obejściem i zapytaniem, skarżył się na pragnienie, więc podawałem mu kilkakrotnie kubek świeżej wody, przygotowanej w wiaderku dla gęsi. Gdybym był lekarzem, może rada moja ocaliłaby życie biednemu chłopcu? Czemuż to nie ma u nas każda okolica podróznego lekarza wiejskiego, któryby jeżdżąc swym wózkiem z kieszonkową apteczką od wsi do wsi, spełniał wysokie posłannictwo zawodu i uczciwie na chleb powszedni w ten sposób zarabiał. Czemuż przynajmniej nie miałem jakiego środka na zimnicę z domowej apteczki mojej matki, która, staropolskim zwyczajem wiejskich dworów naszych, zawsze niosła pod niskie strzechy chętny ratunek, nieraz z narażeniem własnego zdrowia.

Uczeni lekarze nie byli dawniej przystępni dla ludu wiejskiego, bo najczęściej cudzoziemcy, po większych miastach zamieszkali, a prawie zawsze szar-

latani. Dziś odmieniło się dużo na lepsze, ale kmieć nie mógł nabrać jeszcze zaufania; więc jak to już niegdyś zapisał Rysiński, że w Polsce *co choroba, to doktor*, tak i dziś chwyta się lud zabobonów, bo środek nadprzyrodzony przemawia bardziej do ciemnoty. Lekarza ani apteki nie było w okolicy nadniemeńskiej, a baby sieniewickie, gotowe zawsze do bezinteresownej rady, wyczerpały już bezskutecznie od miesiąca wszystkie swoje leki, zaklęcia i talizmany.

Gdy znużenie przemogło, zdawało mi się, że zasnąłem. Nie był to jednak sen, ale jakieś marzenie. Słyszałam stłumione jęki chorego, skrzywienie drzwi przy powiewie wiatru, krzyk gęsi po każdym moim poruszeniu i jakieś opowiadania i szepty pijaków. Dziwne, senne, fantastyczne widziadła stawały mi przed oczyma. Tu dolatywały jęki z ust spalonych gorączką głodu i nędzy, a tam powietrze napępniały wiwaty orderowych dostojników, szampan płynął strumieniem, stoły gięły się pod złocistą zastawą i zamorskimi przysmakami. Skądinąd dolatywała huczna gędzba weselnej kapeli, piętrzyły się misterne cukrowe wieżycy, tysiące gwiazd brylantowych jaśniało na godowych szatach niewiast, dźwięczna mowa ojców, zblaźniona paryskim akcentem, raziła ucho, a obok mnie na barłogu stała trumna z kilku nieociosanych desek. Widziadła przesuwwały się bez przerwy. Patrzyłem się na ciężkie skrzynie, w których drzemały martwe skarby; przy zielonych stolikach siedzieli zamyśleni mężowie z losami w ręku. Wypuszczając kosztowny dym z ust swoich, jedni kreślili liczby białą kredą i zgarniali stopy złota, inni rzucali na losy ziemię, przesiąkli potem pracy rodziców swoich, a użyzioną krwią praocjów, którą dzielili się handlarze i ludzie obcej mowy, odwieczni wrogowie słowian. Na tej osieroconej przez pasierbów ziemi, pod słomianą strzechą, wyrastała garstka jasnowłosej dziatwy, ciekawa abecadła i książki, ale skarby takie są tylko w wielkomijskich kramnicach, a nie było komu przywieźć i dziatwie podarować abecadlnik.

Z brzaskiem dnia zerwałem się ze słomy i przetarłem oczy. Gęsi oddały mi salwę na dzień dobry, a ja, wypiwszy na śniadanie szklenicę ich zimnego nektaru, opuściłem gospodę państwa arendarzów, pogrążonych w błogim śnie, który zapewne kołysał ich nadzieją zysków ze spodziewanej przy karczmie przystani dla parowców. Przy rannej zorzy mogłem się lepiej niż wieczorem przypatrzeć okolicy nadniemeńskiej.

1903: Zygmunt Gloger, *Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy*⁴⁹

O zmroku ruszyliśmy z Niemnowa na nocleg do gospody, położonej naprzeciw Przełomu. Poniżej Sieniewicz miniliśmy sporą wyspę i na lewym brzegu

⁴⁹ Warszawa 1903, część I: *Niemen (z przedmową Elizy Orzeszkowej)*, s. 24–27.

torfowisko bardzo ciekawe z tego względu, że stanowiąc wybrzeże, sięgało dość głęboko pod poziom niskiego obecnie stanu wody w Niemnie. Tak przebywszy w długim dniu czerwcowym ósmą część zamierzonej drogi do Kowna, wylądowaliśmy pod dużą karczmą sieniewicką.

Rzęsiste światło w izbie karczemnej zapowiadało, że gazdowie tego przybytku gwoli *Karczma, Żyd, Gość*, piątkowego wieczoru obchodzili starożytne święto Sabatu. Odgłos zgiełkowej modlitwy *Obyczaje* kilkunastu talmudystów nie budził nadziei znalezienia cichego wywczasu i posiłku pod tym dachem. Przed karczmą stała gromadka gwarzących kmieci, których pozdrowiłem po chrześcijańsku, co dało im o nas dobre wyobrażenie i było wstępem do rozmowy. W teje jednak chwili wysunęła się z gospody w świątecznej peruce i sterzącym jaskrawym na niej czepku ciekawa arendarzowa. Za nią przez wysoki próg sieni karczemnej przestąpił poważnie sam arendarz w czarnym długim żupanie, pończochach i pantoflach, przepasany kolorową chustką. Spojrzał badawczo na nas i na nasze walizki i udając człowieka domyślnego, oznajmił, iż wie dobrze, że jesteśmy inżynierami od Niemna. Ja widząc, iż taka godność bardzo wysoko nas podnosi w oczach arendarza, potwierdziłem skinieniem głowy jego domysł. Żyd też kłaniając się, zapraszał nas uprzejmie do gospody.

Różnica ciężkości gatunkowej powietrza zewnątrz i wewnątrz domu musiała być olbrzymia. Niemiłe wyziewy szynkowanej, najgorszego gatunku wódki walczyły o pierwszeństwo z odorem obficie spożywanej cebuli. Dziwne było, iż w podobnie trującym zaduchu potrafiły zachować życie i ruchliwość miliardy much i że tylko chyba dlatego owady te z izby karczemnej nie uciekły, że okna jej nie były nigdy otwierane. Ponieważ szynkownia była w obecnej chwili domem modlitwy, gospodarz zaprowadził nas do „alkierza” czyli sypialnej swojej za szynkownią izdebki, która do wszystkich zalet izby pierwszej, łączyła idealną ciasnotę. Dwa bowiem łóża z niebotycznymi piramidami puchowej pościeli, pod firankami podobnymi do baldachimów, tak dalece wypełniały całą przestrzeń alkierzyka, że na żaden sprzęt inny nie było już w nim miejsca. Tutaj to gościnnie gospodarz ofiarował nam nocleg i z pewnym zgorszeniem i podziwem spojrzął na nas, gdyśmy zażądali jakiej szopy z sianem lub słomą do wywczasu.

Siana nie było, chyba w herbacie, którą popijaliśmy, jedząc wcale niezłe szabasowe gule. Gdym położył na stole kompas kieszonkowy, arendarz wszystko-wiedzący zapewnił mnie, iż pewien profesor z Królewca (zdaje się przez pruskie ministerium wojny wydelegowany), który przed rokiem badał Niemen, miał taką samą „miarkę” do mierzenia głębokości i brodów tej rzeki. Dalej opowiadał nam, że zamożny obywatel tej okolicy Wołłowicz projektuje parową żeglugę, której główna stacja, podług arendarza, powinna być założona przed jego karczmą.

Jak człowiek tonący, który wydobył się spod lodu na powietrze, tak my znaleźliśmy podobnej rozkoszy wychodząc z karczmy pod gwiazdzone niebo wspaiałego wieczoru nad Niemnem. Piersi nasze oddychały chciwie chłodem nocy.

Obfita, zimna rosa pod promieniami księżycy okryła srebrzystym welonem dolinę szemrzającej rzeki, której łoży nadbrzeżne rozlegały się śpiewem słowików i gwarem żab, przeplatanych krzykami wodnego ptactwa. Jakże nie kochać tej przyrody, kiedy to wszystko takie swojskie, takie rodzinne, wykarmione sokami tej ziemi i wonią tych pól, i ten lud wiejski z wiarą do tych krzyżów przydrożnych i tradycją obyczaju i ciepłem tych ognisk domowych.

Pomimo znużenia całodzienną wędrówką chciało się nam przechadzać bez końca i napawać widokiem nadniemeńskiego wieczoru. Więc poszliśmy ścieżką nieznaną między bujnym żytem i wrzącą śpiewem słowików gęstwiną, a ścieżka tu zawiodła nas niespodzianie w malownicze ustronie nad brzeg nieznaną nam rzeki. Dopiero teraz przypomniałem sobie, iż około Sieniewicz wpada do Niemna Czarna Hańcza. W szerokiej szybie wody odbijał się szafir pogodnego nieba, milionem gwiazd zasiany, a blask księżycy połączył mostem srebrzystym, lśniącym dwa przeciwległe brzegi rzeki. Niekiedy rzuciła się ryba z toni jak duch litewskiej ondyny, a taki sam widok musiał mieć wieszcz przed sobą, gdy pisał:

„Jeżeli nocną przybliżysz się dołą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce”⁵⁰

Czarna Hańcza bierze początek z jeziora tejże nazwy, słynnego z sielaw, a położonego o mil stąd kilkanaście, przy granicy pruskiej. Płyńe koło Suwałk, dalej przez wielkie jezioro wigierskie i przerzyna rozległą, dawną puszcę grodzieńską, czyli tzw. perstońską, na północ której leżał „trakt zapuszczański”. Nazwę Hańczy naiwnie wywodzono od słów księcia litewskiego Trojdena, który party przez Mazurów, ustąpiwszy na lewy brzeg tej rzeki, miał zawołać po litewsku „gana cze!” – (dosyć tutaj), uznając ją za granicę z Mazowszem. Oczywiście jest to sobie bajeczka dziecinna, tak jak wszystkie wywody nazw od słów przypadkowo przez kogoś jakoby wyrzeczonych. W zeszłym wieku podskarbi Tyzenhauz budował na Hańczy tartaki i tamami podnosił wodę, dla większego usplawnienia rzeki. Czy pozostały tego jakie ślady – wątpimy.

Korzystając z uroczej nocy, postanowiliśmy owinąwszy się w burki, przemocować w życie nad Hańczą. Ale rosa okazała się tak obfita, że burki od niej przemakały, żaby zaś skakały po nosach, co nie było wcale przyjemne. Powróciliśmy więc do łódki, w której nocował nasz przewoźnik, twierdząc, iż niepilnowaną mogliby ukraść oryle, gdyż w ich wodnym obyczaju zabranie rzeczy niepilnowanej i nieuwiązanej nie uważa się za kradzież ani grzech, a nawet płótno

* Znów jest to cytat z A. Mickiewicza utworu *Świtez. Ballada* [1822], tym razem Gloger przywołał tylko jedną, trzecią strofę [Red.].

na bielniku przez nikogo niestrzeżone i do ziemi nieprzypięte sumienie orylskie pozwala zabrać z sobą. Usiłowaliśmy tedy zasnąć w czajce na falach Niemna, ale i to okazało się niemożliwe – z przyczyny chłodu nocy wiosennej nad wodą. Wszyscy dzwoniliśmy zębami, otulając uszy przed śpiewem natrętnych słowików w przyległych zaroślach. Wiktor pocieszał, że gdy jęczmień zacznie kłosa „wywijać” (mniej więcej za dwa tygodnie), to słowiki zamilkną i noce chłodne miną niezawodnie.

Gustaw został na łódce, ja poszedłem szukać noclegu przy domostwie arendarza. W gospodzie zastałem nowych i trochę podejrzanych turystów, którzy sami nalewali sobie „siwuchę” z kwarty, bo gospodarz gwoli święta nie mógł własnoręcznie tego skutecznie. Do fetoru wódki i cebuli przybył jeszcze dym ich machorki. Prosiłem o wskazanie jakiej stajenki lub wozowni. Otworzono mi izbę w drugiej połowie domu, gdzie powitały mnie chóralnym okrzykiem przestrachu trzymane w kojcu prawnuczki kapitolinińskich zbawicielek, tuczone zapewne na szmalec przez żonę arendarza. Nie darmo i na Litwie powstała bajeczka, że ptaki te były godłem Warpasa, pogańskiego bożka pobudki. Z drugiego kąta izby dochodziły jakieś stłumione jęki i ciężki oddech ludzki. Poszedłem do izby karczemnej zapytać, co to znaczy? Objasniono mnie, że jest to chory chłopiec, syn wyrobniczy usługującej w gospodzie, że pewnie żyć nie będzie, bo już wszystkie baby sieniewickie wyczerpały swoje lekarstwa i uroki nad nim odczytniły, a on trzeci tydzień wije się na pościółce. Powróciłem i strudzony rzuciłem się na posłaną dla mnie słomę w środku izby na glinianem klepisku, między gęsiami i chorym chłopcem.

Zasnąłem, ale pomimo to słyszałem jeszcze stękanie chorego, alarm gęsi po każdym poruszeniu się moim lub bieganiu szczurów czy kun, które także gospodarowały w tej izbie. A w sennie wyobraźni przesuwały mi się różne mary i widoki. O wstrętnych zamilczę – miłe widziadło wspomnę. W miejscu starego karczmyska stał niby staroświecki dworek wiejski, a szlachetna dusza kapłanki tego ogniska otaczała chorego sierotę anielską opieką rozumnej myśli, serca i chrześcijańskiej ręki. Było to niby wspomnienie z dzieciennych lat moich, znad Narwi.

Gdy zerwałem się ze słomy, słońce już zeszło, chory spał spokojnie, a gęsi przestraszone raz jeszcze podniosły przeraźliwy okrzyk trwogi, na co wszedł nasz arendarz, który miał zapewne sen szabasowy rozkoszny, że za tyle okazanej inżynierom uprzejmości pozyska stację dla parowców pod swą karczmą.

Mogłem się teraz lepiej rozpatrzeć w okolicy.

Bibliografia

- Gloger Z., *Dziennik podróży po Niemnie*, „Kronika Rodzinna” 1873/1874.
- Gloger Z., *Podróż Niemnem*, „Wisła” T. II, z. 1–2, Warszawa 1888.
- Gloger Z., *Dolinami rzek. Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy*, Warszawa 1903.
- Gloger Z., *Pisma rozproszone*, T. I–III, red. J. Ławski, J. Leończuk, Białystok 2014–2016.
- *Żydzi wschodniej Polski*, Seria II: *W blasku i w cieniu historii*, red. J. Ławski, I. E. Ruśsek, Białystok 2014.
- *Urzeczenie. Locje literatury i wyobraźni*, red. M. Jochemczyk, M. Piotrowiak, Katowice 2013.
- *Zygmunt Gloger. Pisarz, myśliciel, uczoney. Studia*, red. J. Leończuk, J. Ławski, Ł. Zabiński, Białystok 2016.
- *Eliza Orzeszkowa. Pamięć kultury. Studia i glosy*, red. J. Ławski, S. Musijenko, Białystok – Grodno 2019.
- *Szkola Główna. Kręgi wpływów*, red. U. Kowalczyk, Ł. Książyk, Warszawa 2017.
- Kalinowski D., *Żydzi polscy i pomorscy. Studia o ludziach i literaturze*, Gdańsk – Słupsk 2016.

Jarosław Ławski

The University in Białystok

IN A JEWISH TAVERN: INSIDE THE 19th-CENTURY WORLD.
ZYGMUNT GLOGER'S TRAVELS ON THE NIEMEN RIVER

Summary

The article gives a detailed analysis of one episode from Zygmunt Gloger's travel accounts. During his boat journey on the river Niemen in 1872, he visited a Jewish tavern. In his text, he mentioned the landlords but also gave a moving description of a 10-year-old boy – whose mother, a poor widow was employed at the tavern – dying of malaria. For 27-year-old Gloger it was a shattering experience. His account of the journey on the river Niemen was published three times, each time in a different version. The episode from the tavern published in 1873 (*Kronika Rodzinna*) is different from the 1888 one (the ethno-geographical magazine *Wisła*) and the 1903 one (in the book *The River Valleys. The Accounts of Travels Along Niemen, Wisła, Bug and Biebrza Rivers*). The comparison of the three narratives shows the complexity of Polish-Jewish relations in the 19th century.

Key words: Zygmunt Gloger, *Diary of the Journey on the River Niemen*, Jews, tavern, sick peasant child.